

Nr 4 (33)
2008



Zadanie dofinansowane
za środków MKiDN
w ramach programu
operacyjnego
"Promocja twórczości"

ISSN 1732-1069



PEGAZ LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA W GORZOWIE WLKP.
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH - ODDZIAŁ W GORZOWIE WLKP.

Marek Grewling PRZEPIS NA ZUPĘ

Dlaczego pośród tylu dzieł nowo powstającej rodzimej sztuki tak trudno znaleźć coś, co moglibyśmy zaliczyć do wartościowej wysokiej literatury? Czyżby mało było zdolnych autorów? Czy może brakuje obecnie tematów odpowiedniego kalibru, które mogłyby zapewnić nośność i atrakcyjność dziełom? Gdzie leży przyczyna miałości i swoistej nijakości publikowanych utworów? Nie ukrywam, że takie kwestie mają charakter retoryczny. Sądzę jednak, że można zdiagnozować tę sytuację. Obecnie wielu ludzi zajmuje się pisaniem – sądzą zresztą, że tak było zawsze, wielu pisało, niestety na Parnas wspięli się nieliczni. Myślę jednak, że współcześnie w Polsce mamy wielu niezwykle uzdolnionych poetów i że ich dzieło jest wydobywane na światło publiczne relatywnie często. A więc dobrze. W skali innych narodów Polacy w dziedzinie literatury są reprezentatywni. Polacy piszą. Naturalnie można zarzucać sobie braki, ale z kolei nie należy popadać w malkontenctwo. Praktykowanie pisarstwa ma niebagatelne znaczenie dla kultury narodowej. O ironio, o kulturę narodową nie troszczą się wybrane przez społeczeństwo do troski o jego dobra tzw. władze. Rzadko, bardzo rzadko słyszymy o stypendiach dla wybitnych poetów czy pisarzy na przykład. Gdy się takowe pojawiają tu czy tam, okazuje się znów, że mają podteksty polityczne, a tego kultura wysoka przeżyć nie może. Teraz aż się prosi o przykłady, lecz czy kultura nie jest też delikatnością? Zatem poprzestanę na tym. A jednak to zaniedbane dobro rozwija się. Dlaczego? Bo są na szczęście ludzie związani z kulturą, którym zależy na podtrzymywaniu i budowaniu pozycji naszej literatury. Stąd poszukiwania wydawców, stąd próby gromadzenia młodych zdolnych. I dobrze. Niestety, mimo mnogości utworów jakoś brakuje nam wybitnych, ale w dosłownym sensie, dzieł. Może to dlatego, że nikt nie powiedział młodemu twórcy, że nie wystarczy sprawnie i pięknie żonglować słowem? Może ktoś powinien przypomnieć pisarzowi i poecie, że trzeba podjąć próbę zanurzenia się w głąb duszy, w głąb człowieczeństwa, postawić sobie samemu na początek parę pytań, które pisarz uważa za ważne, i spróbować podjąć się odpowiedzi na te pytania? Całkiem możliwe. Jednak czy objęcie artystów rodzajem pracy organicznej na polu twórczości wystarczy? Czy to jest w ogóle potrzebne? Waham się z odpowiedzią, wiem bowiem, że rad będzie tyle, ilu krytyków, ba, ilu piszących. Osobiście uważam, że rodzaj pracy organicznej, pod jaką rozumiem m. in. warsztaty, jest niezbędny, ale nie jest to recepta na podnoszenie jakości potencjalnych dzieł. Aż chce mi się złośliwie zapytać, w którym domu kultury ćwiczył swój warsztat lord Byron,

c.d. na stronie 2

INSPIROWAŁ MNIE LANDSBERG

Rozmowa z Iloną Sychowską-Grzesiek

Jak narodził się pomysł na książkę „Spisek nad Wartą”?

Trudno jednoznacznie odpowiedzieć dokładnie, kiedy i jak to było. Wszystko zaczęło się naprawdę dawno temu od fascynacji Międzyrzeckim Rejonem Umocnień, czyli FFOWB. Gdy człowiek zwiedza te podziemne sztolnie, historie w głowie tworzą się niejako same. Początkowo, w bardzo wczesnym założeniu, miała to być książka bardziej o MRU niż o losach Heleny i Petera. Kobieca natura wzięła jednak górę. Poza tym ogromna słabość do Gorzowa – wyjątkowe miejsce, gdzie cały czas czuje się fuzję niemieckiego miasta z polską społecznością i tą wielką niewiadomą: co było tu kiedyś, zanim myśmy przyszli? Gdy zaczęłam szperać wśród starych fotografii, pocztówek, relacji, wspomnień, odnalazłam Landsberg – czyli dokładnie to, co mnie za każdym razem w małych częściach w Gorzowie uwodzi. Te małe drobne pozostałości, których widok inspiruje. Katedra, stare kamienice, kocie łby na drogach, Warta. Jestem wielką miłośniczką historii, więc analiza materiałów historycznych, intrygujących biografii, wysnuć teorii spiskowej, aż wreszcie nawiązanie fabuły wokół tego, było kwestią czasu.

c.d. na stronie 6



Ilona Sychowska-Grzesiek o sobie:

Zaczęło się od szkolnych gazetek, jakichś wierszy pisanych do szuflady i szalonej namiętności do czytania książek. „Spisek...” został napisany w 2006 roku. Potem powstały jeszcze „Outsider” i „Saga rodu Toworowski”, które czekają na wydanie. Dzięki biegłej znajomości języka angielskiego i dość dobrej niemieckiego krótko po ukończeniu liceum zaczęłam pracę w firmie LEONI produkującej okablowanie do samochodów. Przed dwoma laty podjęłam decyzję o wyjeździe do męża do Wielkiej Brytanii. Pracuję jako administrator projektu/koordynator zmian inżynierskich w firmie FAURECIA we Fradley. Nadal sporo czytam, jednak obecnie więcej literatury anglojęzycznej. Mam męża i córkę Julię.

czy Jan Kochanowski? Może nie zabrzmiał to nadzwyczaj elegancko, jednak to obfitość wnętrza autora powoduje obfitość jego dzieła. A głębia przemyśleń lub jej brak wynika proporcjonalnie z wrażliwości i mentalności piszącego. Być może ocieram się teraz o banał, ale czasem warto przypominać prawdy oczywiste, a jednak nieco zapomniane. Odnośnie do poszukiwania głębi dzieła. Potrzebni są krytycy literaccy, surowi i mądrzy zarazem. Dzięki Bogu paru nam się jeszcze ostało. Nie ośmielę się podpowiadać kryteriów oceny dzieła ludziom, którzy zajmują się tym profesjonalnie i potrafią odróżnić dobre od bardzo dobrego i bardzo dobre od wybitnego. Dlaczego o tym piszę? Może lepiej zająć się urokiem jesiennych poranków i słodyczą popołudniowych mgieł października? Może nie warto eksplorować pokładów wnętrza duszy jednostki i społeczeństwa? Ale cóż zatem? Mamy stoczyć się do słuchania kiczowatych wierszydeł śpiewanych przez raperów? Poprzestać na oglądaniu filmowych fabuł rozpisanych na role przez scenopisarzy bolly-holly-wood? To lekkostrawne, ale też niebezpieczne. Łatwizna naprawdę nie służy umysłowi. Nawet jeśli porzucimy szersze aspiracje, pozostanie przecież troska o własny poziom. Właśnie, to troska o własny poziom, o wysokość intelektualną dzieła, a także o utrzymanie jakości metody twórczej motywuje (przynajmniej powinna motywować) piszących. Nie będzie nadużyciem sugestii, że to rodzaj wspomnianej już pracy organicznej. Swoiste samodoskonalenie. Boję się krytyki literackiej, boję się tym znanym egoistycznym lękiem o to, że usłyszę: „To dzieło nie jest najwyższego lotu, proszę jeszcze nad tym popracować.” To nie jest najprzyjemniejsze, szczególnie wtedy, gdy jesteśmy przekonani o swojej wartości i o wartości tego, co stworzyliśmy. Lecz, czy ktoś jest dobrym adwokatem we własnej sprawie? Co sugeruję? Po pierwsze to, że nie trzeba się bać krytyka. On nie gryzie – zapewniam. Po drugie, że wielkość mierzy się pokorą. To hasło nie jest nośne ani atrakcyjne, jednak coś w tym jest. Umiejętność stanięcia w świetle innego spojrzenia i oceny, odwaga postawienia siebie wraz z dziełem przed jedynym w swoim rodzaju trybunałem zakrawa na heroizm. Dodam: korzystny, zawsze korzystny heroizm. Chociaż jak wiemy, tak czy inaczej każde dzieło staje przed trybunałem oceny – oceny czytelnika, który nie pozostawi złudzeń. Kupi lub nie kupi. Staje też dzieło przed trybunałem historii literatury. Jakkolwiek patetycznie to zabrzmiał, po latach pisarz zostanie odnotowany w annałach jako dobry lub zły... albo wcale o nim nie będą wspominać. Warto się starać i pracować nad pięknem słowa oraz nad tym „co poeta ma na myśli”, żeby w istocie „na myśli” coś było. Wracając do kwestii początkowej, do pytania o literaturę wysoką, uniwersalną, o twórców, którzy dosięgają Parnasu. Mamy wielu dobrych pisarzy i poetów. To nasza duma i radość. Jednak aby dzieła stały się uniwersalnym manifestem wykraczającym poza granice doświadczenia jednej osoby, jednego narodu, aby mogły stać się własnością ogólnohumanistyczną, nie wystarczy tylko talent. Nie wystarczy nawet talent połączony z wrażliwością. Otóż potrzeba czegoś więcej. Trochę boję się o tym mówić, ale raz kozie śmierć, może czytelnik nie obrazi się na mnie. Oprócz talentu i wrażliwości potrzebna jeszcze wiedza. Tak po prostu. Szeroka, porządna humanistyczna wiedza. Proszę mi wybaczyć, ale to trzeba powiedzieć. Nie precyzuję metodologii zdobywania wiedzy, to już zupełnie inna sprawa, jednak wiedza jest potrzebna i basta. Nie ma przepisu na książkę, nie ma przepisu na wiersz. Sztuka to nie zupa. Niemniej jednak wypada wiedzieć, czym się różni książka kucharska od encyklopedii. To ułatwia życie tak kucharkom, jak i pisarzom. Na szczęście właśnie rozpoczyna się rok akademicki.

Marek Grewling

XIV edycja Konkursu im. Z. Morawskiego – rozstrzygnięcia

Konkurs im. Zdzisława Morawskiego stał się jednym z największych konkursów w Polsce, o czym świadczy zarówno ogromna ilość nadesłanych prac (304 zestawów poetyckich, 262 utworów prozatorskich i 10 słuchowisk radiowych), jak i – sędząc po geografii nagród – jego zasięg terytorialny. Poziom Konkursu, szczególnie w dziedzinie prozy, dorównuje jego zasięgowi. Tegoroczne jury to wybitne postaci z dziedziny literatury polskiej: **Marek Wawrzkiwicz** – Warszawa, prezes Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich – **przewodniczący jury**; **Stefan Pastuszewski** – Bydgoszcz, znany krytyk, sekretarz redakcji miesięcznika literackiego „Akant”; **Leszek Żuliński** – Pruszków, skarbnik Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich; **Andrzej Krzysztof Waśkiewicz** – Gdańsk, przewodniczący Komisji Kwalifikacyjnej Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, członek kolegium redakcyjnego „Orientacji” i „Młodej Sztuki”, zastępca redaktora naczelnego „Integracji”, redaktor naczelny „Gdańskiego Rocznika Kulturalnego” i „Autografu”.

Nagrody otrzymali:

a) w dziedzinie poezji:

I nagrodę w wysokości 2.000 zł – Izabela Kawczyńska z Łodzi
 II nagrodę w wysokości 1.500 zł – Arkadiusz Stosur z Krakowa
 III nagrodę w wysokości 1.000 zł – Czesław Markiewicz z Zielonej Góry
 Wyróżnienia w wysokości po 500 zł – Igor Jarek z Katowic i Mariusz Cezary Kosmala z Legionowa

b) w dziedzinie prozy:

I nagrodę w wysokości 2.000 zł – Robert Miniak z Łodzi
 II nagrodę w wysokości 1.500 zł – Joanna Łopusińska z Warszawy
 III nagrodę w wysokości 1.000 zł – Maciej Mikurda z Wrocławia
 Wyróżnienia w wysokości po 500 zł – Małgorzata Chaładus z Hässelby – Szwecja i Anna Gratkowska z Radziejowic

c) za słuchowisko radiowe:

Nagrodę w wysokości 1.000 zł – Jadwiga Buchholz z Warszawy

Gala, na której nagrody zostaną wręczone, odbędzie się 25 października o godz. 16 w sali audytorialnej nowego gmachu Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Gorzowie Wlkp. Serdecznie wszystkich zapraszamy, a nagrodzonym – GRATULUJEMY!!!

Polecamy w numerze:

- s. 1-6 Rozmowę z Iloną Szychowską-Grzesiek o jej książce „Spisek nad Wartą”, do napisania której zainspirował ją Landsberg z lat wojny
- s. 3-5 oraz 14-15 Interesujący wywiad Marka Wojciechowskiego z Karolem Maliszewskim – poetą, prozaikiem i krytykiem literackim, który niedawno spotkał się z młodymi poetami w Gorzowie, dalej jego wiersze i opowiadanie
- s. 8-11 Recenzje i fragmenty ostatnio wydanych pozycji Karola Graczyka i Eduarda Diłaniana.
- s. 12 Debiut młodej poetki Arlety Borek
- s. 13 Nowe wiersze poetów gorzowskich
- s. 16-18 Interesujący szkic Marka Grewlinga o poezji ks. Jerzego Hajdugi oraz informacja o nowym poetyckim miejscu – „Kotłowni” w Dreźnie
- s. 23-24 Humoreskę o łowieniu ryb Romana Habdasa, do-
 tąd wypowiadającego się tylko w poezji

10 października w Pracowni Literackiej w klubie „Magnat” (Miejskie Centrum Kultury) z zainteresowanymi spotkał się poeta, prozaik i krytyk literacki – Karol Maliszewski. Poniżej rozmowa z gościem. Jego wiersze na str. 5, a opowiadanie na str. 14 i 15.

Poezja to odpowiedzialność

Z Karolem Maliszewskim rozmawia
Marek Lobo Wojciechowski

– *Kraży anegdota, że Bóg zajmuje się wszystkim oprócz czytania młodej poezji polskiej – w tym wyręcza Go Maliszewski. Skąd Pan bierze siły na wertowanie tysięcy stron pojawiających się z dnia na dzień tomików?*

– To miłe, że stałem się częścią literackiego folkloru i pojawiłem się nawet w anegdocie. Nie czytam wszystkiego, tylko pewne rzeczy od czasu do czasu, a więc ta anegdota opiera się na przesadzie. Owszem, jakieś dziesięć czy piętnaście lat temu rzucałem się na wszystko, co przyniosła poczta, i starałem się o tym pisać. Teraz to po prostu niemożliwe, choćby ze względu na czasochłonną pracę zawodową, bo pracuję w trzech miejscach: w Nowej Rudzie, Wrocławiu i Jeleniej Górze. No i trochę czasu chciałbym sobie zostawić na własne pisanie, na prozę, która mnie coraz bardziej pochłania, i na wiersze, którym ciągle pozostaję wierny.

– *Poezja (literatura) w necie: przejściowe zjawisko czy osobna dziedzina sztuki?*

– Dziedzina sztuki ta sama, ale na pewno nowe środowisko, nowy krąg, nowa społeczność literacka. Nie chciałbym używać pojęcia „nowe medium”, ponieważ internet nie stworzył jakichś szczególnie odmiennych form literackich. To ciągle ta sama stara literatura w nowym opakowaniu, w nowy sposób przekazywana czytelnikom. Zjawisko ani przejściowe, ani też wieczne. Coś, co zapełniło dziurę w kulturze. Niektórzy chcieli to prezentować, ale nie mieli gdzie, bo stare kanały przekazu i komunikacji literackiej się zapchały, inni chcieli do tego dotrzeć, ale nie wiedzieli jak. Zjawisko stworzenia takiej przestrzeni komunikacyjnej uważam za pozytywne.

– *...i pytanie wynikające z poprzedniego: najpierw net (jakie portale?) czy od razu druk?*

– Polecałbym cierpliwe terminowanie w necie. Wbrew obiegowym opiniom to naprawdę dobra szkoła poetyckiego charakteru. Nie znam zbyt wielu portali, ufam „nieszufładzie”, „poezji polskiej” i temu, co robił i mam nadzieję, że nadal robi Alek Radomski. To się chyba nazywało „bar”. Godzien zaufania jest portal Jarka Łukaszewicza, nazwy w tej chwili nie pamiętam. O, jeszcze „poezja.org”, kiedyś bardzo interesujący krąg, niestety nie wiem, co tam się teraz dzieje. Świetne dyskusje związane z wierszem i jego recepcją prowadzi się w „rynsztoku”, gdzie rej wodzi Edek Pasewicz

– *Jest Pan nauczycielem, wykładowcą uniwersyteckim, poetą, krytykiem, pisarzem, eseistą – jak Pan godzi te dziedziny i zajęcia? Co w Panu przeważa, która droga wydaje się Panu najbliższa i najważniejsza w życiu?*

– Tak naprawdę nie wie się, kim się jest. Żyje się i pisze się, a potem ludzie jakoś to nazywają. Przez przypadek 22 lata temu zostałem nauczycielem, przez przypadek wykładowcą, ktoś zatelefonował i zaproponował. Z czegoś trzeba żyć, z pisania się nie



Karol Maliszewski urodził się 27 lipca 1960 r. w Nowej Rudzie, gdzie do dzisiaj mieszka i pracuje jako nauczyciel w szkole podstawowej. Wykłada też współczesną literaturę polską w Kolegium Karkonoskim w Jeleniej Górze i prowadzi warsztaty poetyckie w Studium Literacko-Artystycznym przy Uniwersytecie Jagiellońskim. Absolwent filozofii, doktor nauk humanistycznych, poeta, prozaik, krytyk literacki. Współredaktor antologii młodej poezji dolnośląskiej „Imiona istnienia”. Wydał dziewięć tomików poetyckich, trzy tomy prozy i pięć tomów szkiców krytyczno-literackich. Stale współpracuje z kilkoma piśmami literackimi, takimi jak: Odra, Opcje, Topos, Studium, Twórczość, Fraza, Wersja, Akant, Red. Absolwent filozofii, doktor nauk humanistycznych. W maju 2007 r. został nominowany do nagrody literackiej Nike, autor szkiców krytycznych „Rozproszone głosy” (2006).

wyżyje. Jak ma się w sobie pasję, to wszystko można pogodzić i połączyć w imię następnego zapisanego zdania.

– *Co sądzi Pan o pojawiających się jak grzyby po deszczu kolejnych konkursach poetyckich/literackich? Które by Pan osobiście proponował młodym twórcom, jako sprawdzian umiejętności i „mocy” ich utworów i talentu?*

– Jako literacki gówniarz startowałem w konkursach, ciesząc się, że coś takiego istnieje i mogę sobie z mojego zadupia pojechać po nagrodę, spotkać fajnych ludzi, nauczyć się czegoś i wrócić bogatszy o doświadczenia. Konkurs to ważna instytucja naszego samorozwoju, możliwość sprawdzenia się. Konkursy nie pojawiły się dzisiaj, pamiętam je od zawsze. Czy komuna, czy kapitalizm, konkursy żyją własnym życiem. Zawsze ich było dużo. O pewnie, że są różnej wartości. Kiedyś najważniejsza była gdańska „Czerwona Róża”, dzisiaj prym wiedzie łódzki konkurs Bierzina.

– *Zaglądamy na poszczególne fora i portale internetowe wydaje się, że Polska to kraj poetów. Z drugiej strony poezja sprzedaje się bardzo słabo, praktycznie wcale. Jak Pan ocenia to zjawisko, skąd wynika, z jednej strony pęd do pisania, z drugiej – zamknięcie na dostępną na półkach literaturę piękną?*

– Odpowiedź jest prosta: więcej osób pisze wiersze niż je czyta, a takiego paradoksu nie jest w stanie znieść żadna gospodarka rynkowa. Jeśli chodzi o poezję, prosty rachunek ekonomiczny nie wystarcza, więc nie mówmy o zyskach, o sprzedawaniu. Te rzeczy dotyczą prozy. Poezja jest dla nielicznych, którym wydawane ilości doskonale wystarczają.

– *Kogo ze współczesnych poetów poleciliby Pan jako lekturę obowiązkową dla młodych adeptów sztuki poetyckiej?*

– Kiedyś wiedziałem, miałem gotowe odpowiedzi, teraz zaczynam wątpić. Radziłem zaczynać od Bursy, Wojaczka, Babińskiego, Rationia, Stachury. Chodziło mi o uzmysłowienie, z jakim ryzykiem mamy do czynienia, zaczynając przygodę z pisaniem. Wskazywałem na to, że tu się często gra o najwyższą stawkę duchową, psychiczną, światopoglądową. Poezja to nie hobby, to odpowiedzialność za własną wrażliwość, dogłębne choroby. Nie każdy musi na to chorować. Tak więc, młody człowieku, czytaj cokolwiek, ale z szeroko otwartymi oczami, zrób z tego pożytek, wyciągnij wnioski.

– *...i dalej: co czytać poza kilkunastoma nazwiskami?*

– Poza kilkunastoma nazwiskami trzeba przeczytać nazwiska kilka tysięcy. I to ze wszystkich kultur i języków. I to ze wszystkich epok. Samouczek poety.

– *Czy, Pana zdaniem, szykują się w najbliższych latach poważniejsze przetarasowania na Parnasie poetyckim Polski? Jakie nazwiska widzi Pan w najbliższym czasie w roli ikon – autorów nadających ton i wyznaczających nowe drogi rozwoju poezji/literatury?*

– Proroctwa mi nie wychodzą. Mogę powiedzieć, kto mi teraz w najmłodszej poezji imponuje, lecz nie ma gwarancji, czy gość nie zasłabnie po drodze. Wie pan, alkoholizm, narkotyki, choroba psychiczna, hurtownia, uwiad wyobraźni, słabnięcie energii języka. Proroctwa nie są tu na miejscu. No, ale powiedzmy: Tomasz Pułka, Przemek Witkowski, Rafał Gawin, Konrad Góra, Szczepan Kopyt, Przemek Owczarek, Julia Szychowiak, Piotr Kuśmirek, Wioletta Grzegorzewska, Konrad Ciok, Adam Grzelec, Justyna Bargielska, Łukasz Jarosz, Maciej Robert, Dariusz Adamowski, Agnieszka Wolny-Hamkało, Bartosz Konstrat i tak dalej.

– *Jak widzi Pan i ocenia szanse oraz dokonania poetów i pisarzy polskich w konfrontacji ze światem? Jakie są możliwości wyjścia ze swoim dorobkiem poza granice kraju?*

– Konfrontacja ze światem jest podglebiem literatury, pisanie jest wypadkową tej konfrontacji. Ale rozumiem, że znów chodzi o sprzedaż, o konfrontację z jarmarkiem świata, gdzie język polski nie ma żadnych szans w zderzeniu z angielskim, francuskim, niemieckim. Nie oceniam szans, bo w ogóle się nad nimi nie zastanawiam. Mój świat jest tu, jak go opisuję, tę walkę wewnętrzną, przełamywanie siebie, i konfrontację zewnętrzną też opisuję. Moi koledzy nie robią niczego innego. Czy to ktoś przetłumaczy na angielski i będzie przeczytane gdzieś tam, nie ma większego znaczenia. Naprawdę nie wiem, czy współczesna polska literatura musi się dobrze w świecie sprzedawać, czy taki imperatyw ma nam zatykać dech w piersiach.

– *Czy w nawale codziennych zajęć znajduje Pan czas na chwile wytchnienia, posiada Pan jakieś zainteresowania pozaliterackie, hobby?*

– Obawiam się, że w moim życiu już nie ma niczego pozaliterackiego. Nawet gdy gram w piłkę, jeżdżę na nartach, fotografuję, chodzę po górach, jadę samochodem, smażę konfitury czy sadzę krzewy w ogródku, to odbieram to jako bardzo literackie czynności.

– *Panie Karolu, proszę o kilka uwag dla młodych osób chcących spróbować swoich sił na polu pisania poezji/literatury.*

– Trzeba się na wstępie zorientować, jak się mogą daleko posunąć, jeśli chodzi o szczerość, obnażenie się, wstyd i te rzeczy. Następnie trzeba zrozumieć, że można tymi zjawiskami manipulować w ramach uprawiania szeroko pojętej fikcji literackiej. Jeśli ktoś to zrozumie i mimo niesmaku będzie chciał dalej to robić, myślę, że go już nic nie zatrzyma. Potem dochodzą kwestie techniczne. Czytamy bez przerwy, chłonimy ze wszystkiego, co nas otacza, uczymy się do upadłego. Z pokorą. Bo to jednak świat dyktuje warunki.

– *Jak z ogólnokrajowej perspektywy ocenia Pan wartość twórców miasta Gorzowa i województwa lubuskiego?*

– Nie potrafię ocenić czegoś, czego nie znam. Jeśli mi wpadnie w ręce jakaś antologia tego środowiska, chętnie przeczytam i powiem, co mi się podoba, a co nie, oczywiście wraz z uzasadnieniem. W tej chwili jestem bezradny.

– *Serdecznie dziękuję za rozmowę.*

Nasi laureaci konkursów poetyckich

Karol Graczyk jest laureatem aż czterech konkursów literackich, których wyniki zostaną ogłoszone w październiku. Są to:

- XIII edycja Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „Istota człowieka” im. Eugeniusza Buczaka zorganizowanego przez Krajowe Bractwo Literackie w Koszalinie i Stowarzyszenie Przyjaciół Koszalina
- III ogólnopolski konkurs literacki młodych „O Wachlarz Wilhelminy”, organizator – Sulechowski Dom Kultury
- XIX Ogólnopolski Konkurs „O Laur Opina”. Organizatorzy: Oddział Ciechanowski Związku Literatów Polskich, Centrum Kultury i Sztuki w Ciechanowie i Muzeum Romantyzmu w Opinogórze
- Konkurs „De-konstrukcje 2008” w ramach Ogólnopolskich Spotkań Literackich zorganizowany przez Miejskie Centrum Kultury w Mysłowicach. Miejsca i wysokość nagrody ogłoszone zostaną podczas finałów.

Natomiast **Kinga Mazur** już odebrała nagrodę w Międzynarodowym Konkursie Literackim „Świat bez wojny i przemocy” pod hasłem „Przygoda przychodzi sama” rozegranym w Sulęcinie. Na konkurs nadesłano 520 prac z Polski, Rosji i Białorusi. Nagrodą główną był tygodniowy pobyt w Moskwie. Kinga była wśród nagrodzonych, otrzymała statuetkę i książki.

LUDZIE PO DRUGIEJ STRONIE

*Ludzie po drugiej stronie ulicy,
gdy mi przywożą węgiel
i podnosi się mgła,*

*z zapartym tchem śledzący
manewry multikara.
Wreszcie wpasowuje się
zmarzniętą dupką w secesyjną bramę,
by wysrać tonę lub dwie
na środku korytarza.*

*Taki jeden liczący na mial
czai się z workiem.
Niemowa kręcący głową,
przekonany, że gość urwie lusterko
na gzymsie, ale jednak nie.*

*Starsza pani w filcowych botkach
z opieki społecznej
metalicznym głosem dworcowej szczekaczki
coś mu tam oznajmia,*

*a mnie pyta, kiedy się to wszystko skończy.
Wszystko to się dawno skończyło,
teraz żyjemy w kawałkach wszystkiego,
w bryłach. Nie chce mi wierzyć.*

I ten jej uśmiech z przeceny.

MIŁOŚĆ

*Cichutko, pod chustką, fuck you pokazuje,
bo nie wie, czy ją rzuci, czy zostawi
w niesławie, w glorii prawa
jak w serialu, sąsiedztwie i licznych przykładach;*

*złota jesień, pani matka, liście roni
z przepastnego brzucha,
on udaje, że słucha,
że czyta ten szelest
tylko dla niej, spóźnione astry
przyniesie jak kiedyś, w narzeczeństwie,*

*ona palce pręży, wysuwa paznokcie.
Dobrze mieć widok
na publiczne przedszkole, życie
się odtwarza w zmąconych obrazkach,*

*kurtyna deszczu ucina rozmowę,
zagania aktorów pod daszek z przepłotnią.*

DZIEWCZYNA NA POBOCZU

*Rośnie do samotności i nawet rower
nie pomoże, górski i lśniący,
rośnie do pustki za parapetem,
naglej przepaści; rośnie do siebie
i od siebie, a pomiędzy niczego nie znajdzie,*

*nie znajdzie się chętny, żeby razem szukać,
ale ona jeszcze nie wie, prowadzi i głodzi,
trzyma wysoko głowę, blask słońca
na jej kędziorkach;*

*rośnie do nieba
jej cień, ciało zostaje w tyle.*

REQUIEM

*Tu wszystkie gałęzie należą do zmarłych,
machają nimi wytrwale na wietrze;
czy wciąż w albumach tkwią ich młode oczy,
nie wiem; pozostawili mundury,
suknie ślubne, komunijne ubranka;
nadzy wślizgują się między gałęzie;
czy tam jest jakiś popas
lub piknik u Boga, nie wiem;*

*nie mogę zawierzyć mitologiom,
niezupełnie wierzę tylko w rozkład;
wrócić na ziemię wiosną, bić deszczem,
być jasnym pędem, gorzkim mleczem w żwirze*

TE WSZYSTKIE RZECZY

*Piszę w zeszytach swoich uczniów.
Dzisiaj jestem Anną Urczyńską.
Powrywałem z niej wszystkie zapisane
kartki. Moniko, Moniko –
powtarza siedzący obok,
dotykając językiem komórki.
Wszyscy wpatrują się z napięciem
w klawiatury. Starsza pani usiłuje
trafić opuchłym palcem
w literkę „m”. Nie mógłbym
mówić „Moniko” do swojej
miłości.*

*Miłości. Mitologii. Muzyki.
Te wszystkie rzeczy, które były ważne.
Trafiają do jakichś zakładów
naprawczych życiowego taboru
albo nie trafiają.*

Wtedy umiera się wcześniej.

Co Ciebie łączy z Gorzowem Wielkopolskim?

Gorzów zawsze był i będzie dla mnie wyjątkowy. Urodziłam się i wychowałam w Ostrzeszowie (południowo-wschodnia Wielkopolska).

Moi pradiadkowie i dziadkowie przeprowadzili się zaraz po wojnie na tzw. Ziemię Odzyskaną. Pod Gorzowem, w Drezdenku, urodził się mój tato, a w Górecku się wychował. W tej okolicy, ze szczególnym uwzględnieniem Gorzowa, do dziś mieszka cała jego rodzina. Moja mama pochodzi z miasta, w którym się urodziłam i przyznam szczerze, że zupełnym zbiegiem okoliczności była decyzja o osiedleniu się w Ostrzeszowie, a nie w Gorzowie. Gorzów i jego okolice to moje drugie miasto. Bardzo często tu przyjeżdżałam i do dziś przyjeżdżam. Tu są moje korzenie, o których nie zapominam. Tu mieszka wielu szczególnie bliskich mi ludzi. Dla mnie Gorzów to Warta, stare kamieniczki, halaśliwie tramwaje oraz szczególnie urok i smak miasta.

To również „fotografia w kolorze sepii, która budzi się do życia z każdą chwilą, gdy się ją ogląda” (cyt. ze wstępu książki „Spisek nad Wartą”).

Skąd taki, a nie inny tytuł – zwłaszcza związany z podkreśleniem rzeki Warty?

Rzeka Warta jest cichym świadkiem wszystkiego, co się dzieje. Poznań i prawie cała Wielkopolska należą wówczas do Warthelandu. Siatka OMEGI obejmuje cały Wartheland, a przez Landsberg przepływa Warta – no i wyraźnie podkreślona jest również jej obecność w nazwie miasta. Równie dobrym tytułem byłby po prostu „Romans nad Wartą”, ale gdyby nie te wszystkie większe i mniejsze spiski w tej książce i samego romansu by nie było (o czym sami bohaterowie przypominają w swoich rozmowach). Stąd w konsekwencji „Spisek nad Wartą”, który nie jest intrygą stulecia, ale dość interesującym obrazem sprzecznych interesów, podejrzeń, domniemań, etc.

Czy tak jak inni autorzy, identyfikowałaś się ze swoimi bohaterami? Przeżywałaś ich losy, podniecałaś się nimi?

Ostatnio dowiedziałam się, że moje imię (chyba z węgierskiego) tłumaczy się Helena – uśmiełam się przy tym niesamowicie. Czy ktoś by w to uwierzył? Od razu wszystkim nasuwa się sugestia, prawda? Na swój sposób wyposażylam bohaterów w swoje lepsze i gorsze cechy, ale od razu podkreślam, że nie chodzi tylko o Helenę i nie o wszystkie moje cechy. Sądzę, że w niektórych sytuacjach zachowałabym się podobnie, natomiast w innych zupełnie przeciwnie. Ci bohaterowie, jak i cała książka, są częścią mnie i to bez względu na to, czy się z nimi utożsamiam czy nie. Zoja czy Hilda nie są pozytywnymi bohaterkami, a jednak ich obraz jest we mnie żywy równie jak Petera, Alberta czy Inge. Po prostu zanim wy mogliście ich zobaczyć oczami wyobraźni czytając „Spisek...”, w mojej wyobraźni żyli już dość długo i żyją nadal.

Dziś poczytne są książki o współczesności np. „Samotność w sieci” Janusza Wiśniewskiego. Ty osadziłaś akcję swojej książki 70 lat temu. Dlaczego?

Zdaję sobie sprawę, że większość osób na myśl o tym, że akcja dzieje się pod koniec wojny, może się zniechęcić. Ja jestem wielką wielbicielką historii – nie oczekuję jednak tego samego od Czytelników. Przecież ramy czasowe to nie wszystko. Odznajując się od mojego zamiłowania, uważam, że pewne kwestie pozostają uniwersalne – jak umiejętność podejmowania decyzji przy pozostaniu w zgodzie z własnym poczuciem moralności, bycie wiernym własnym

zasadom, nawet, gdy cały świat staje do góry nogami. Poza tym, jeśli skupimy się tylko i wyłącznie na tym, co jest teraz, na opisywaniu i czytaniu tylko o teraźniejszości, zapomnimy skąd i dzięki czemu tak jest. Mottem mojej książki jest cytat Tadeusza Kotarbińskiego: „Przeszłość zachowana w pamięci staje się częścią teraźniejszości” – nie trzeba być koneserem historii, aby pewne przesłania zrozumieć. Nie oczekuję, że jeden „Spisek...” zmieni trendy, ale tego typu literatura też jest potrzebna. Poza tym to jedyna możliwość, aby przywołać do życia Landsberg i choć odrobinę ukazać, jakim był miastem.



Gorzów może być dumny ze swojej przeszłości. To nie tylko „miasto upadłych fortyfikacji” („Spisek nad Wartą”). Gdyby tak ze wszech miar się zorganizować, to z tej niemieckiej przeszłości można by uczynić największy atut miasta.

Czy „Spisek nad Wartą” zmienił jakoś Twoje życie?

„Spisek...” od dawna jest częścią mojego życia. Dzięki pracy nad tą książką miałam okazję dotrzeć do materiałów, jakimi normalnie bym się nie zainteresowała, dostrzec miejsca, jakie normalnie bym tylko mijala. Odnalazłam i cały czas odnajduję Landsberg w Gorzowie.

Czym jest dla Ciebie – młodej osoby – pisanie? Czy to sposób na życie, rozrywka, fanaberia?

Bardzo bym chciała, aby pisanie było dla mnie sposobem na życie. Póki co jest odskocznią od teraźniejszości, rodzajem hobby, które mogłabym uprawiać całymi dniami.

„Spisek” to Twój debiut literacki. Czy myślisz już o nowych książkach?

Nie tylko myślę. Dwie kolejne już czekają na opublikowanie. Pierwsza z nich to „Outsider” – współczesna powieść z fabułą toczącą się w Anglii. Świat show-businessu, układów i postać, której od początku książki nie można odnaleźć. Druga książka to „Saga rodu Toworowskich” – jak już sam tytuł wskazuje – jest bardzo przekrojowa. Poza nawiązaniami do odległej przeszłości, akcja toczy się od przełomu wieków XIX-XX aż do XX-XXI w. Trzy, prawie cztery pokolenia rodu Toworowskich z Toworowa – ich losy i decyzje, których konsekwencje ponosiły następne pokolenia. Klimat tej książki jest podobny do „Spisku...”.

Jak znajdujesz wydawców? Czy to trudne dla młodej pisarki?

To chyba najtrudniejsze pytanie. Bardzo trudno znaleźć wydawcę dla autora, który debiutuje. Z jednej strony staram się zrozumieć sytuację wydawnictwa, które boją się zaryzykować inwestycję

w młodego, niesprawdzonego autora. Jednak z mojej perspektywy – młodej pisarki – jest to zdecydowanie najtrudniejszy etap, najbardziej żmudny i zniechęcający. Trzeba mieć naprawdę dużo samozaparcia i wiary we własne umiejętności, aby dotrzeć do końca.

Jaki jest twoim zdaniem przepis na dobrą prozę?

Nie ma przepisu na dobrą prozę – to nie jest tak jak z przepisem na ciasto, że kupujesz produkty i bez względu na to, czy dodasz kakao, truskawki czy jabłka zawsze wyjdzie dobre. Uważam, że to, co najważniejsze w każdej prozie – od powieści do krótkich opowiadań – to specyficzny klimat. Jeśli autor potrafi go przekazać czytelnikowi, to jest już bardzo dużo.

Z Iloną Sychowską-Grzesiek rozmawiała Beata Patrycja Klary



Krótką, ale ważną ulicą w centrum miasta. Biegnie od ronda Kosynierów Gdyńskich do ulicy Konstytucji 3 Maja. Do 1945 r. patronował jej Pestalozzi, postępowy pedagog i pisarz szwajcarski (Pestalozzistrasse). Po 1945 r. pozostawiono patronat pedagoga, tyle że wielkopolskiego – Ewarysta Estkowskiego. Najważniejszym obiektem przy tej ulicy jest Zamiejscowy Wydział Wychowania Fizycznego (AWF). Z okazji niedawnego Dnia Edukacji Narodowej wspominamy dziś właśnie tego pedagoga.

Ewaryst Estkowski (urodzony 26 X 1820 r. w Drzągowie w Wielkopolsce, zmarł 15 VIII 1856 r. w Soden w Niemczech) to wielkopolski działacz oświatowy, pedagog i publicysta.

W 1848 r. założył pierwsze w Polsce Towarzystwo Pedagogiczne, był współwydawcą pierwszego polskiego czasopisma pedagogicznego pt. „Szkoła Polska” i współwydawcą „Pisma dla Nauczycieli Ludu i Ludu Polskiego”. Najważniejsza jego książka to „Metoda pisania i czytania” (1850 r.). Działalność Estkowskiego wywarła duży wpływ na rozwój oświaty i szkoły polskiej w Poznaniu. Stanisław Kot w swojej „Historii wychowania” pisze: *Kto chce poznać, jakich działał czy wydawał ruch wolnościowy 1848 roku, nie znajdzie piękniejszej osobistości nad skromnego nauczyciela wielkopolskiego Ewarysta Estkowskiego.*

Przywiązywał szczególne znaczenie do kształcenia nauczycieli oraz do podnoszenia poziomu edukacji elementarnej. Doceniał reformy polityczne, ale jeszcze większe znaczenie przypisywał reformom społecznym. Był znakomitym praktykiem, potrafił swą głęboką wiedzę teoretyczną połączyć z bogatym doświadczeniem praktycznym.

O obowiązującym systemie nauczania pisał: *Początki nauk w szkole nam wykładane, zamiast żeby szły w harmonii z rozwijającym się życiem dziecka, zamiast żeby wpływały na kształcenie umysłu oraz serca i torowały drogę do życia właściwego młodemu wychowankowi, biegły osobno i życie osobno. Uczono nas tylko mechanicznie, a nie kształcono i wychowywano.*

Po studiach pedagogicznych i psychologicznych, po doświadczeniach w nauczaniu prywatnym i publicznym, doszedł do wniosku, że najważniejsze, aby *omijać wszelką mechaniczność, uczyć z uciechą. Dziecko samo niejako robi odkrycia i wynalazki, a nauczyciel prowadzi je tylko za rękę, tylko pracę mu ułatwia, tylko nad tym czuwa, by nie odstępowało od nauki.* Był więc Estkowski zwolennikiem i propagatorem metod – jak je później nazwano – aktywnych, przywiązywał dużą wagę do tego,

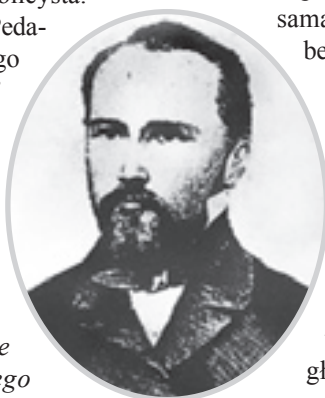
aby uczniowie samodzielnie zdobywali nowe dla nich wiadomości i umiejętności, a także umieli z nich korzystać w życiu.

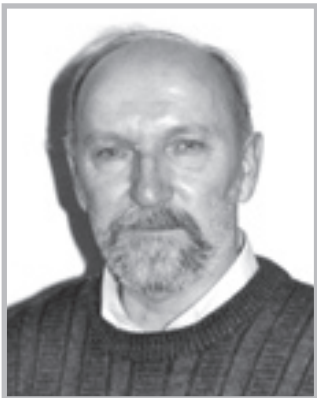
Opracował „Program naukowy dla szkoły polskiej”, w którym najwięcej miejsca poświęca nauce elementarnej. Jej cele:

- 1) *wzbudzanie, krzewienie i kształcenie serca, tzn. uczuć, sumienia i woli;*
- 2) *kształcenie władz umysłowych;*
- 3) *zaznajomienie uczniów z początkami wszelkich głównych wiadomości, których człowiek potrzebuje w każdym położeniu, zawodzie i zatrudnieniu.*

W realizacji tak sformułowanego programu niezbędne jest jego zdaniem nauczanie: religii i historii biblijnej, najważniejszych rzeczy z fizyki, nauki o zdrowiu oraz nauki o prawach i obowiązkach obywateli, nauka o *rzeczach ojczyznych*, także rysunek i śpiew. Tak naszkicowany program nauczania powinien przy tym być wcielany w życie zgodnie z zasadami jednolitości i powszechności, to jest w szkołach, które *wspólnie tworzyć będą jeden system, jeden organizm stopniowy, a podstawę tego organizmu stanowią będą szkoły elementarne.* Dysponując głęboką wiedzą pedagogiczną, umiał ją twórczo łączyć z bogatym doświadczeniem życiowym i nauczycielskim, w jasny i przystępny sposób popularyzował ją wśród nauczycieli. Wiele jego pedagogicznych oraz metodycznych tez i zaleceń zachowało aktualność do dzisiaj.

W wir działalności społecznej wciągnęły Estkowskiego wydarzenia poprzedzające wybuch rewolucji z 1848 roku oraz sama rewolucja. Był podczas niej komisarzem straży bezpieczeństwa we Wrześni, a następnie naczelnikiem i dowódcą powstańczych oddziałów zbrojnych w pobliskich powiatach. Wierzył, że Wiosna Ludów przyniesie Polsce wolność i sprawiedliwe stosunki społeczne. Upadek rewolucji położył kres tej wierze. Pruskie władze zwolniły go z pracy w szkole ćwiczeń przy seminarium pedagogicznym w Poznaniu. Estkowski związał się wówczas z Ligą Polską i wালnie przyczynił się do założenia w 1848 roku Towarzystwa Pedagogicznego, którego głównym celem było utrzymanie języka polskiego w szkolnictwie elementarnym. Miał mnóstwo pomysłów zarówno w zakresie metod, jak i treści nauczania. Ale odezwała się gruźlica, na którą chorował od lat młodości. Udał się do Soden w Alpach, aby ją leczyć. Bezskutecznie. Zmarł na obczyźnie w 1856 roku, mając zaledwie 36 lat. *Czy będę jeszcze mógł uczyć?* – to pytanie najczęściej stawiał lekarzom w ostatnich dniach swojego życia.





Czesław Sobkowiak z Zielonej Góry jest częstym gościem na łamach „Pegaza Lubuskiego”. W numerze 11/12 prezentowaliśmy go jako poetę (biogram, wiersze oraz recenzja tomu „Rozmowa z Rimbaudem”). Jednak najczęściej Czesław Sobkowiak przedstawia czytelnikom „Pegaza” swoje spojrzenie na tomiki gorzowskich autorów. W poprzednim numerze pisał o twórczości Ireny Zielińskiej (polemika autorki na str. 19 bieżącego numeru), poniżej – omówienie tomiku Karola Graczyka „Osiemdziesiąt cztery” i obok dwa wiersze.

Witamy Czesława Sobkowiaka na promocji tego numeru „Pegaza”, gratulując niedawno otrzymanej nagrody Prezydenta Zielonej Góry.

Czesław Sobkowiak

Poezja na granicy realności

Jeśliby zacząć lekturę drugiej książki poetyckiej Karola Graczyka pt. „Osiemdziesiąt cztery” (jest to nawiązanie do roku jego urodzin), od noty biograficznej dołączonej do zbioru, to prezentuje się jej autor jakby nie patrząc – zwłaszcza mając na uwadze ciągle młody wiek – dość imponująco. Oto przykład pokolenia, nazwałbym je „internetowym”, które w znacznym stopniu dzięki temu urządzeniu cywilizacyjnemu objawia swoje istnienie, ale konstruuje swój świat wedle trochę innych odniesień percepcyjnych. Ma to swoje konsekwencje w obrazowaniu świata. Można oczywiście stworzyć „internetowy miesięcznik” kulturalny, artystyczny, poetycki i dzięki temu istnieć w jakimś tam obiegu i kontakcie z innymi, którzy są zresztą w sytuacji bardzo podobnej i z podobnych możliwości funkcjonowania korzystają.

Nota biograficzna pokazuje, że mamy do czynienia z autorem aktywnym i wszechstronnym. Oto dwudziestoparolatek uprawia poezję, prozę i dziennikarstwo, a także redaguje książki. Zdobywa nagrody w konkursach. Także, o dziwo, wydaje rekomendacje młodszym od siebie poetom, czego przykładem jest choćby „Pegaz Lubuski” nr 3/2008. Może to dobrze, że na tyłu polach naraz Graczyk działa. Jego talenty, jakimi dysponuje, rozwijają się i prowadzić mogą do zdobycia wysokiej pozycji zawodowej w przyszłości, wielorako zapowiedzianej obecnymi próbami. Prawdopodobne to, ale niekoniecznie pewne. Kolejnym dowodem, świadczącym o typowo twórczych już możliwościach, jest niedawno wydany drugi tomik poetycki. Nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby nie fakt, że pierwszy pt. „Oko i oko” został opublikowany w roku ubiegłym.

Można się zastanawiać, czy nie mamy tu do czynienia z – nie zawsze przynoszącą właściwe profity artystyczne – nadprodukcją tekstową. Z ciągiem dyskursu retorycznego, który dość swobodnie wersyfikuje opowieść o świecie. Ale założmy, że tak nie jest, że chodzi wyłącznie o dobry splot natchnień poetyckich w tym młodym cyklu twórczym, który w przyszłości na pewno przybierze nieco inną formę. Oglądam fotografie poety pomieszczone w obydwu zbiorach. Czytam też rekomendacje kilku krytyków. Wszystkie są kurtuazyjnie pozytywne, bo mają przecież taki cel – promujący (Maliszewski, Zuliński, Jung, Pie-

trzak). Nie dotyczą przy tym obrazowania ani światopoglądu. Wracając do fotografii, za każdym razem mamy inne ujęcie poety, inne światło w twarzy, a więc jakby odsłonę innej strony osobowości. Tyle tytułem mimowolnej dygresji.

Gdy idzie o poezję Karola Graczyka, to niewątpliwie cechuje ją wrażliwość obserwacyjna, jeśli nie nawet nadwrażliwość, precyzja relacji, zmienność i lekkość (do niczego poeta się nie przywiązuje) i idąca z nią w parze duża inwencja wyobraźni i języka, np. „Patologia”. Aktywność ta niejedno ma źródło. To już dało się zauważyć w pierwszym tomiku. Jednak obecnie można mówić, co chyba stało się motorem inspirującym, o nowej sytuacji wewnętrznej poety. Jeśli poprzednio impulsy twórcze – powiedziałbym – wznicały różne przeżycia i doświadczenia życiowe, rówieśnicze, to obecnie w centrum zainteresowania pojawiła się postać partnerki uczuciowej, erotycznej, dziewczyny, która jest główną adresatką lirycznych przekazów. „Nigdy nie otwierasz oczu zbyt szeroko” (s.18). Pojawiło się w samym centrum podmiotowego świata „ty” liryczne, biorące istotny udział w dzianiu się, kreowaniu i stawianiu najbliższej rzeczywistości. Tak, albowiem tylko z powodu tej obecności cały wysiłek poetycki jest podejmowany. Trochę to wygląda romantycznie, choć z romantycznością samą niewiele ma wspólnego, albowiem relacje dwustronne nierzadko przybierają drastyczną, ostrą, drapieżną, gwałtowną, naznaczoną straceńczością konfigurację: „chodzi o zdrapywanie strupów po żyletkach” (s. 42). Czasami też chodzi o konkretną, przypadkową lub samobójczą śmierć – „Neutralizacja”, „Geologia poddasza”.

W każdym razie tomik wypełnia podmiotowa (wyłącznie z tej perspektywy) realizowana opowieść o tym wszystkim, co staje się, wydarza realnie i wyobraźniowo, kojarzy, przychodzi na myśl, realizuje, także iskrzy, wznosi się i zapada – wszystkie przeżycia pomiędzy dwojgiem bliskich sobie ludzi, bliskich niewątpliwie, bo nie byłoby kilku dedykacji dla Karoliny Grządziel, gdyby była obcą osobą, ani wierszy o wspólnych intymnych tematach. W pierwszym tomiku tej motywacji i wewnętrznej presji było o wiele mniej. W drugim ma znaczenie podstawowe. Bohalterka liryczna warunkuje widzenie świata, bo konstytuuje go jej obec-



ność, owszem tylko w sensie etymologicznym, ale zastanawiam się czy z poetyckiego punktu widzenia to jest najważniejsze. Widzenie świata ewidentnie wzmagane jest afektem, z tego względu afekt jest doceniany i podsycany. Ma z założenia prowadzić do kontynuacji wspólnej historii. Niewątpliwie intensywnie zmierza do osiągnięcia sfery bezgraniczności. Poddawana jest w wątpliwość ważność realności. Jest to dość znamienne, poeta nie jest „skłonny uwierzyć w rzeczywistość”, bo „ona nie może być prawdziwa” (s.34). Wydaje mi się, że wnioski, jakie poeta formuluje, jednak są w tym ujęciu mylne. Rzeczywistość jest, czy się nam to podoba czy nie, a kwestia prawdy dotyczy już innego zagadnienia. Z drugiej strony, to trzeba poecie przyznać, jest ta realność bardzo konkretnie, szczegółowo i wielorakimi przedmiotami wypełniana: „pokój: książki kartka długopis smak / pierwszych winogron zapowiedź lata” (s. 33). Bylibyśmy w błędzie, gdybyśmy doszli do wniosku, że chodzi poecie o pewne, trwałe osadzenie się w niej. Wyłączenie bowiem z jednoznacznie weryfikowanej realności jest priorytetem. Zresztą sytuacja erotyczna i retoryczna też na tym wyłączeniu z obiektywnej rzeczywistości, ze społecznych kontekstów, bazuje. Zauważmy, że głównym przedmiotem narracji poetyckiej jest łóżko, a przestrzenią pokój. Od tych atrybutów istnienia usiłuje się tu tylko odejść. Wyznania miłosne i uprawianie seksu są głównym zadaniem i problemem. Trochę to mało jak na manifestację buntu i uzasadnienie odwrócenia się od świata. Czy ten bunt jest jednak rzeczywisty: „W kostkach gin, wino i szkocka. / Naprzeciw telewizor, parapet (wytrzymuje) resztkę wypełnia / szafa regał i dym z papierosa, muzyka, spokój”, gdy zarazem korzysta się z dóbr konsumpcyjnych chętnie i często, a mimo to: „jesteśmy niezdolni do wzajemnych relacji” i „zostaje nam seks”(s.42). W pewnym momencie jednak wszystko może jawić się przyziemnie. Ale co z tego wynika? W gruncie rzeczy na tym tle pomiędzy podmiotem a światem rozgrywa się dramat nieautentyczności.

Jedynym antidotum są zachowania niekonwencjonalne, ciągła zmienność oraz antycypacja, choćby przy pomocy alkoholu i innych używek, doznań skrajnych: „dziś znów przekroczysz dawkę” i „rozegra się akcja / którą sobie wymyślisz bez względu / na świat zewnętrzny” (s. 35). Przywołuje Graczyk dla uwiarygodnienia swojej postawy także nazwisko kultowego Stachury, bowiem chcąc zbudować mitologię musi do mitologii istniejącej już nawiązać. Jego poetyka jest jednak inna, nie linearnie uporządkowana, ale oparta na chaosie. Te eksperymenty, włączone w zasadę funkcjonowania świata poetyckiego Graczyka jednak niepokoją, bo mogą stać się zagrożeniem dla sensu samej poezji. Czy to tylko gra znaczeniami i sytuacją? Gra bezpieczna, bez konsekwencji. Nie odmawiam poecie prawa do uzyskiwania maksymalnej wolności, uwalniania się od obowiązujących zasad, prawa do przekraczania granic itp. Świadectwem jest choćby ciekawa, jeśli nie najwartościowsza w tym zbiorze, inwencja językowa, leksykalna, nietypowość wiązań syntaktycznych, fleksyjnych, frazeologicznych, „tu – według Leszka Żulińskiego – kryje się kreatywność i oryginalność autora”. Pod tym względem jest ten drugi tomik na pewno lepszy od debiutanckiego, sprawniejszy, bogatszy treściowo. Zaletę stanowi pojawienie się refleksji pokoleniowej w kilku wierszach: „Płyniemy”, „Postdarwinizm” czy „Pokolenie '84”. Ale drugą, o niebagatelnym ciężarze sferą u każdego poety, jest ontologia. To z nią każdy poeta powinien się zmagać, dążyć do jej określenia, jeśli chce coś naprawdę znaczyć. Czyżby zadaniem pokolenia Graczyka była raczej anihilacja międzyludzkich więzi, biografii i przynależności społecznej na rzecz gloryfikacji własnej wyjątkowości? Tak, podmiot jest kimś wyjątkowym, jeśli wyłącznie sam ustala obowiązujące ramy. Nie może się taki zabieg odbyć inaczej niż w oparciu o relatywizm, który może stanowić pułapkę dla samego autora. W końcu równie dobrze zrelatywizują się i jego konstatacje. Jest to droga do egzaltacji, dekadencji, pustki, obsesyjności. Lekcji tego typu nie warto przerabiać. Oczywiście piszę nieco na wyrost z powodu rozumienia literatury, które uwzględnia idee, zobowiązania i imponderabilia. Być może Graczyk już w kolejnym zbiorze moim wątpliwościom zaprzeczy.

Czesław Sobkowiak

* * *

*Zimno i wilgoć
Ciemność pomnaża ciemność
Wstrząsa człowiekiem który
Stoi na przystanku i się zastanawia
Czy jest zbawienie
Tak nagle to przyszło
W samotnej godzinie
Każda godzina jest odpowiednia
Myśl niepokojąca jak ostateczność
Wśród niedopałków i śmieci
Kubków po jogurtach
Gdyby sens rozjaśnić
Podać jakieś szczegóły
Stanąc wobec kpiarzy
Z podniesioną głową
Jak ująć w jednym zdaniu
Cały ten ciężar
A na dodatek ludzie
Dobrzy chorzy źli
Oszukani i bez domu
I bez ratunku w nocy na poczekalni
Co można powiedzieć
Każdemu z osobna choćby ogólnikowo
W błoto zapada się świat
Co zrobić należałoby coś zrobić
Upokorzenie i umieranie
Na tym przystanku lub na innym
To już bez znaczenia*

* * *

*Poszukuję człowieka
Zgubę współczesności
Zupełnie nieznaną już istotę
Której można uwierzyć
Co nie usiłuje niczego przedstawiać
Na swoją korzyść wszelkim sposobem
Ani skomplikowanie i długo tłumaczyć
Zalet poddania się władztwu iluzji*

*Poszukuję człowieka któremu dzień patrzy z oczu
I się nie wzbrania kiedy trzeba
Przerwać milczenie gdy obok
Wielu nie widzi powodu
Nazwać po imieniu
Po prostu plugawość
I naokoło wstawiają
Że mogą dalej jeść swój chleb*

*Poszukuję człowieka
O dalekim i dziwnym spojrzeniu
Pominiętego we wszelkich rachubach i newsach
Nie unikającego zmarszczek
Które w każdym zdaniu wskazują
Na świat taki jaki jest w szczegółach bez retuszu
I nie świadczą o przeskakiwaniu samego siebie
Tego wymaga się w cyrkowym popisie
A człowiek długo stąpa po czarnej ziemi*

Eduard Dılanian Kocham Cię, Glino

(fragment)

Dokładnie o godzinie dziewiątej grupa operacyjna w kompletnym składzie zebrała się w gabinecie komisarza Hutyry. Komendant Sochacki też był obecny. Siedział na boku w fotelu i nie brał udziału w naradzie. Na wiszącej na ścianie plastikowej tablicy, czarnym pisakiem Hutyra przedstawił plan operacji, jak to robią trenerzy drużyn piłkarskich, zaznaczając miejsca każdego członka grupy. Sierżant Szpilewski i aspirant Banasiak zajmują pozycje na ulicy Batorego i obserwują każdy podejrzany samochód, który będzie parkował w pobliżu bramy prowadzącej na podwórko z tyłu apteki. Hutyra z Olszewskim czekają w magazynie na samochód dostawczy. Początek operacji komisarz wyznacza na godzinę jedenastą. Celem operacji jest schwytanie przestępcy na gorącym uczynku, aby mieć niepodważalny dowód jego winy. Muszą ryzykować, bo nie mają innego wyjścia. Przeciwno Adrianowi Turantowi nie ma żadnych bezpośrednich dowodów, a tylko same poszlaki. Sąd może nie wziąć ich pod uwagę. Zadanie nie należy do łatwych. Wszyscy uczestnicy operacji są narażeni na niebezpieczeństwo. Najbardziej ryzykują Agnieszka i kierowca samochodu dostawczego. Oboje kompletnie nie są świadomi śmiertelnego zagrożenia życia.

Czwartek. Godzina 9.45. Koniec narady.

Godzina 10. 00. Komisarz Hutyra spotyka się z komendantem. Komendant nic nie powiedział podczas narady, a teraz chciał osobiście przekazać kilka uwag komisarzowi. Najważniejsze: nie dać się nabrać co do dokładności przyjazdu samochodu dostawczego. W życiu różnie bywa. Radził przesunąć czas rozpoczęcia operacji o pół godziny, jeszcze raz sprawdzić połączenie klatek schodowych z dachem oraz być gotowym na atak ze wszystkich możliwych kierunków. Nie ma żadnej pewności, że przestępca będzie myślał konwencjonalnie, może spróbuje zaskoczyć nielogicznym posunięciem.

Hutyra uważnie słuchał swego przełożonego, bardzo doświadczony praktyka.

Godzina 10.15. Hutyra łączy się ze wszystkimi członkami grupy i rozkazuje przesunąć czas rozpoczęcia operacji na godzinę 10.30. Wzywa do siebie podkomisarza Olszewskiego.

Godzina 10.22. Hutyra z Olszewskim wyjeżdżają na plac Czarnieckiego.

Godzina 10.27. Parkują samochód w pobliżu kwaciarni. Idą do apteki. Kierowniczka prowadzi ich do magazynu. Hutyra jeszcze raz prosi, żeby wszyscy pracownicy zostali na swoich miejscach i nie wychodzili na zewnątrz.

Godzina 10.30. Wszyscy meldują się, potwierdzając obecność na wyznaczonych pozycjach. Meldują się także sierżant Plutowski

i starszy posterunkowy Fercho, którzy wcześniej wyjechali na teren operacyjny, żeby sprawdzić wejścia na dach. Wszystkie klatki schodowe mają na ostatnim piętrze wejście na dach. Zostaje teraz uzbroić się w cierpliwość i czekać.

Godzina 11.00. Nic się nie dzieje, ale Hutyra ma złe przeczucie. Jest przekonany, że niebezpieczeństwo nadchodzi. Olszewski siedzi obok na taborecie i milczy. Potem wyjmuje pistolet i jeszcze raz sprawdza łódkę na naboje i mechanizm podający naboje do lufy.

Godzina 11.30. Melduje się aspirant Banasiak.

– Panie komisarzu! – mówi Marta trwożnym szeptem. – Przed chwilą podjechał samochód. Numery rejestracyjne zamazane błotem.

– Mów dalej – Hutyra podniósł się z taboretu.

– Z samochodu wysiada kominiarz.

– Co? Kominiarz jeździ samochodem?

– Coś niespotykanego, prawda? Albo chodzi pieszo, albo jeździ rowerem.

– No właśnie!

– Ma na ramieniu kolczastą kulę na drucie.

– Gdzie idzie?

– Do drugiej klatki po prawej od bramy.

– Wiedziałem! – ucieszył się Hutyra.

– Wchodzi do klatki schodowej.

– Dobrze. Zostań na swoim miejscu.

Godzina 11.40. Melduje się sierżant Szpilewski.

– Panie komisarzu! Z kwaciarni wychodzi kobieta.

– Co sugerujesz?

– Jest jakaś dziwna.

– Mów dokładniej.

– Nie jestem pewny. Wydaje mi się, że ma perukę.

– No i co? Wiesz, ile kobiet zakłada perukę? To jeszcze nie dowód.

– Panie komisarzu, ale ma rajstopy. W taki upał?

– Rajstopy?

– Tak. Czarne.

– To już dowód. Coś tu nie gra.

– Idzie do pierwszej klatki po lewej stronie od bramy. Ma bukiet kwiatów i torebkę.

– Coś jeszcze?

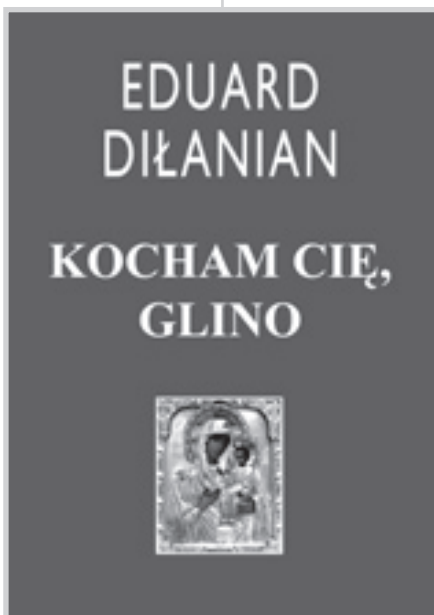
– Myślę, że jest trochę za wysoka jak na kobietę. Ręce też ma za duże...

Godzina 11. 50.

– Co ty na to? – zwrócił się Hutyra do Olszewskiego.

– Zmiany planu? – zapytał ten.

– Na to wygląda. Możemy mieć nie jednego, lecz dwóch sprawców.





Eduard Dilanian – jak wskazuje jego nazwisko – nie jest Polakiem. Urodził się i blisko 50 lat mieszkał w Erewaniu, stolicy Armenii. Jego podstawowym językiem był rosyjski, na co dzień także posługiwał się ormiańskim. Ukończył filologię germańską, był nauczycielem i tłumaczem języka niemieckiego. Także biegle zna angielski. 15 lat temu zdecydował się

na wyjazd do Polski. Pracę i mieszkanie znalazł w Sulęcinie, bo tu w szkole był potrzebny nauczyciel języka niemieckiego. Języka polskiego – jak sam przyznaje – wtedy nie znał prawie wcale. Ale poznał go na tyle dobrze, że właśnie po polsku napisał pierwszą książkę. Eduard Dilanian ma także uzdolnienia plastyczne, dużo i chętnie maluje. Marzeniem jego życia było jednak pisanie książek. Ponieważ mieszka w Polsce, zdecydował się na pisanie po polsku. Na początku bardzo pomagała mu żona z polskimi korzeniami oraz córka, która niedawno w Sulęcinie zrobiła maturę.

W 2005 r. wydał pierwszą książkę pod tytułem „Pytania do Isabelle”. Interesująco opisał w niej własną przygodę. Przypadkowo trafił do jego rąk list z wyznaniem miłości, napisany w czasie wojny do pewnej Polki, po niemiecku, ale z potężnymi błędami. Pisał go Francuz, który przez Niemców został skierowany do pracy w Polsce. Dla Polki i Francuza jedynym wspólnym językiem był niemiecki. Ale jak ten list znalazł się w Sulęcinie? Dilanian podążył jego tropem, pojechał do Francji, odnalazł panią Izabelę, a przy okazji połączył zwaśnioną

rodzinę. Ciekawa historia listu, potoczyscie opowiedziana, zyskała autorowi pierwszych czytelników.

Na drugą książkę Eduarda Dilaniana złożyły się opowiadania o trudach i rozterkach wieku dojrzewania. Dał im tytuł „Prawdziwy mężczyzna”. Bo też trzeba przejść wiele barier, by stać się mężczyzną. W tym względzie autor miał swoje własne doświadczenia, więc inspiracją do większości opowiadań stało się jego życie. Nadał im walor uniwersalny, choć głębsze osadzenie ich w realiach Związku Radzieckiego także mogłoby być ciekawe.

W sierpniu ukazała się najnowsza książka Edwarda Dilaniana, pierwsza zrodzona z autorskiej wyobraźni. Tytuł „Kocham cię, Głino” sugeruje krąg tematyczny kryminalno-romansowy. Złożyły się na nią dwa większe opowiadania połączone postaciami bohaterów – komisarza Hutyrę i jego przysiężoną Agnieszkę. Druga z tych opowieści mogłaby się rozgrywać w realiach lubuskich. Potoczysca akcja, dużo dialogów to walory tej książki, którą dobrze się czyta. Minusy to, moim zdaniem, pewna idealizacja bohaterów i spraw, powierzchowność tła i łatwość, z jaką dzielny komisarz odnajduje sprawców. Do tego minimalna liczba trupów i mało krwi, co nie wiem, czy uznać za plus, czy minus. Na pewno na konstrukcji książki odbiły się liczne kryminalne seriale, które autor ogląda w polskiej telewizji.

Eduard Dilanian skończył już następną powieść, w której opisał swoje losy w Armenii i drogę do Polski. Teraz pracuje nad dalszym ciągiem historii rodziny pani Isabelle z pierwszej powieści. Polecam książki napisane przez autora, który przyjął język polski za swój. Nie każdy Polak tak sprawnie nim włada.

Krystyna Kamińska

- A kim jest drugi?
- Dostaliśmy cynk, że do Polski przyjechał członek radykalnej młodzieżówki z Hanoweru.
- Rozumiem.
- Ja biorę na siebie faceta po lewej, a ty tego naprzeciwko. Działamy na wyprzedzenie.
- Kierowniczka przyniosła dwa białe kitle.
- Może chcielibyście panowie założyć kitle? – zapytała.
- Niezły pomysł – zgodził się Hutyra.
- Szybko przebrali się za pracowników apteki.
- Godzina 11.55. Przyjeżdża samochód zaopatrzeniowy. Kierowca niecierpliwie naciska na guzik dzwonka elektrycznego. Kierowniczka otwiera drzwi i przepuszcza Agnieszkę do przodu.
- Przepraszam – mówi Hutyra i delikatnie odsuwa kierowniczkę na bok. – Pani zostaje w pomieszczeniu.
- Agnieszka wąskim przejściem podchodzi do samochodu.
- Widzę go! – mówi Olszewski. – Jest na dachu. Faktycznie jest przebrany za kobietę.
- Psia krew!
- W rękę ma broń.

W tej samej chwili Agnieszka podchodzi do otwartych tylnych drzwi samochodu, aby odebrać kartony z towarem. Pada strzał z lewej strony. Kula z hukiem wbija się w ścianę przylegającego do apteki budynku. Kawałki tynku rozlatują się we wszystkie strony.

Andrzej robi błyskawiczny skok do przodu i pociąga Agnieszkę za sobą na ziemię, przykrywając ją swoim ciałem, jednocześnie oddając w górę kilka strzałów.

Kierowca wskoczył do środka samochodu. Wszystko odbyło się prawie w mgnieniu oka. Olszewski strzelił przed siebie, celując w jasnobrażową perukę, która mignęła w promieniach słońca.

Zapadła cisza. W niektórych oknach pojawiły się wystraszone twarze mieszkańców.

– Do środka! – krzyknął komisarz Hutyra do Agnieszki. – Nic ci nie jest? – zapytał, pomagając jej podnieść się.

Wystraszona i oszołomiona nic nie powiedziała, tylko skinęła głową i pobiegła do otwartych tylnych drzwi apteki.

– Co robimy? – zapytał Olszewski.

– Naprzód! Biegnij w prawo i zablokuj wejście z klatki schodowej. Ja pobiegnę w lewo. No, już!

Godzina 12.03. – Panie komisarzu! Kominiarz ucieka. Wsiada do samochodu – odebrał komunikat od Marty.

– Cholera jasna! Dzwoń po posiłki!

– Biegnij na dach! – to już rzucił po drodze podkomisarzowi Olszewskiemu – a ja będę ścigał kominiarza.

ODROŚNIE

Jak jaszczurka wygrzewam się
w twojej pościeli.
Gdy zrzucasz wężową skórę,
na chwilę zamieram na szczycie.
Nagle odkryta uciekam gadem.
W popłochu zostawiam ogon.

* * *

Miasto jednoznacznie puste.

Taksówkarz dobrze zna trasę,
jak wewnętrzne życie kobiet.
Stać go jedynie na wydanie reszty.
Kamienica. Zamiast drzwi kartka:
„Nie trzaskać, proszę!”
Na schodach kabaret kroków.
Jednoczę się z poręczą.
Pomiędzy nogami przemyka kot.
Za chwilę ujrzę znajomą twarz
niekochanka.

DZIEŃ MATKI

Ranek pachnie przypalonym mlekiem.
Na późny obiad kipią nerwy.
Noc niekoniecznie pachnie.
Czas mierzy ubranka.

Nie pytam o koniec świata,
bo bliżej mi do końca miesiąca.
Miewam dylematy:
lukrowane, ze skórką pomarańczową,
po klótni z nadmiarem ciała.
Waham się widząc w zupie przejawy życia.

Wieczorem kupuję bilet na karuzelę
i czekam w kolejce na uniesienie.



Fot. Krzysztof M. Ciesielski

Arleta Borek rocznik '73.
Pisze wiersze od lat szkolnych.
Debiutowała wówczas na
łamach „Gazety Słubickiej”.
Po kilku latach przerwy po-
wróciła do pisania, w którym
znajduje możliwość obrazo-
wania świata w niepowtarzal-
ny sposób. Poezji nie traktuje

poważnie, jest to dla niej dopełnienie codzienności. Nie czuje
się jeszcze gotowa do debiutu książkowego. Z zawodu jest
ekonomistką, pracuje w Gorzowie jako urzędnik państwowy.
Studiuje architekturę wnętrz. Pasjonatka fotografii reporta-
żowej. Wielbicielka Woodstocku i poznańskich koziołków.
Mama Kubu.

PANI OD POLSKIEGO

Budziła podziw wielkim turkusem
w pierścionku.
Mówiła: *Nie będziemy rozmawiać o poezji,
bo nikt z was nie będzie poetą.
Porozmawiajmy lepiej o Bogu.*
Gdy kazala nam szumieć – szumieliśmy.
Taki teatr.
Gdy kazala nam pisać – nie pisaliśmy.
Potem jednak pisaliśmy. Maturę. Razem.
Taki teatr.
Część spadła jak liście.

Nikt nie pamięta jej imienia.
*Porozmawiajmy lepiej o Bogu,
choć nikt z nas nie będzie księdzem.*

UCH

W zagłębieniu twego ucha
odnalazłam Kosmos.
Robię uch.
Jestem we wszech -
świecie, gdzie Ziemi nie ma,
chyba, że
po.

Z cyklu „Fraszki rodzinne”

ŻONKA

Szeroka jak morze.
Wierna jak rzeka.
Jednym słowem –
nie można narzekać.

KOCHANKA

Jak sójka za morze
wybieram się na spotkanie.
Wszystko po drodze gubię
na twoje pukanie.
Dobrze cię widzieć naga, kochanie!

MAŻ KOLEŻANKI

Ona plecie,
on kradnie wianki.

MŁODA MEŻATKA

Do ręki wróbelka wzięła
i z zachwytu aż jęknęła:
O Boże!
Toż to orzeł!

Beata Patrycja Klary

CACKO

lubisz ją w brudnych stopach
gdy wędruje brzegiem
z linią słońca na biodrach oklejonych plażą

jest wtedy jak szkło pustynne z cząsteczkami złota
które zlizujesz okiem
marszcząc brwi przed światłem

chciałbyś ją uchwycić we flakonie myśli
ostudzić do kształtu wygodnej patery lub wazy
głębokiej bo ma piękne uszy
ale się nie daje

więc czekasz
bo gdy w końcu wróci
turban włosów dźwigając o zapachu piegów
pozwoli ci spróbować jaka jest dziś słona

Maria Borcz

TAJEMNICA

mój kolega
z Domu Dziecka
co wieczór klęka

leżę obok na tapczanie
i czytam z jego warg

gdy mówi
za swoich rodziców
„wieczny odpoczynek”
placze

zazdroszczę mu
tych lez

przynajmniej wie
że był kochany

Z. Marek Piechocki

Z cyklu:
FANTASMAGORIA

Dobieram znaki słowne
cyzeluję wersy
– chcę napisać wiersz
i
żeby był doskonały
jak preludium Chopina
więc
dokładam starań
myślom zawierzając
kamień formy
fantasmagoriom
otwieram furtkę
przestrzeni zmysłów

Kartka
pióro
ja
... na żebrach

Karol Graczyk

GŁODNY JESTEM
Z TOBĄ

*Kłaniam się w pas lewej i prawej wardze
Językiem rozchylam znaczenia
Sylwester Zawadzki*

Jestem z tobą przy drewnianym okapie
nad trzaskającymi drzwiami lodówki

głodny z zamilowania, gdziekolwiek jestem
z tobą kiedy przecedzasz ziemię palcami,

jesteśmy do siebie tacy podobni – różni nas
wszystko, co znamy, więc już wygraliśmy.

Front przesuwają się na południe. Cienie kładą się
w zakamarkach, w lodówce znowu poniżej zera.

Jestem z tobą kiedy pod tapetą dzieją się rzeczy,
które nas widzą, teraz spokojnie mnie
wycudzołóż;

za chwilę ci powiem jak smakuje
zarost wszystkich części ciała.

ORIGAMI

Pod wpływem słońca kapcie uzależniają się
od ciepła, wtedy przyjemniej przechodzą
pod stopami w niezbędnych kierunkach
podcinania przekątnych pokoju i innych
kształtów, tu nic więcej nie ma. Dzień
składa się róg do rogu, a powietrze boli.

W stronę szczekania psa rozciąga się pole.
W domu schody są gotowe na nasze zejście.
Idziemy, nie będąc niczym konkretniejszym

od kartki papieru złożonej na czworo. Od
godziny wkładam palce w żebra grzejnika,
książki osuwają się z półek na dywan.

* * *

Z dymu i kurzu ciepłych pól
chleba i wódki w opuszczonych dworcach
wiszą stare rozkłady jazdy a przy kasach
dźwiękoszczelny hałas sprzed denominacji
i miód od ściany do ściany

gruz zgrzyta między palcami
jak zbyt gruba koldra ode mnie do ciebie
stacje kolejowe urodziły się umrzeć w nic
chwasty są tak wysokie że kobiety odsłaniają
po jednej piersi dojrzałe owoce

tylko chmury są tutaj łagodne jak bita pianina
a gdybym miał prawo do skargi milczałbym

Powrót podmiotu

*...jak ten policjant, którego buty skrzypią
pod oknami szpitala wariatów.*

W. S. Reymont

Dym wędruje, wspina się, zahacza o anteny, osiada na gałązkach na balkonie. Skąd tyle gałązek? Jeszcze tylko przypiąć kolorowe wstążki i różgi jak znalazł. Anita pracuje w przedszkolu. W tym roku razem z koleżankami postanowiły wstrząsnąć. Bo coś te dzieciaki za słodkie dzieciństwo mają. A niech chwilę popłaczą, zanim dostaną właściwe prezenty, gadające lalki i tym podobne. Niech poczują powiew grozy. Życie to nie tylko delikcje, ale i nadpleśniała piętka pod szafą. Niejedna rączka po nią sięga. Dym wspiał się wreszcie na wysokość i tego okna. Mam zwyczaj ocknąć się nad ranem, otworzyć okno i spać dalej. Aż do wtargnięcia rzeczywistości. Raczej do muśnięcia. Zamiast skrzypienia dźwigów jest skrzypienie butów. Delikatne przejechanie smyczkiem dymu po nosie.

Na dole w ogródku dymił mój brat. Wypluł płuca w kopalni, jednak nie przeszkadzało mu to przypalać papierosa od papierosa. Rozszalałe porywy kaszlu upewniały mnie, że ciągle tam jest. Nocne szychty przestawiły mu zegar w głowie. Śpi i czuwa zrywami, jak popadnie. Pustkę nocy zapełnia stertami książek. Jest chyba najbardziej czytany górnikiem w tych stronach. Byłem górnikiem. Pracownikiem byłej kopalni. Tu wszystko jest było. Taki stan egzystencjalny: być w tym, co było. Gorzej z terażniejszością. Dlatego wszyscy głosowaliśmy na pewnego młodego człowieka. Jako burmistrz uzdrowi poczucie czasu. Nie tylko zrobi porządek z terażniejszością, ma nawet jakieś plany względem przyszłości. W to akurat jakoś nie chce się wierzyć.

Największym sceptykiem jest mój brat. Ufną wiarę w ludzi wypluł razem z płucami. Teraz wszystkim patrzy na ręce. I tym na dole w miasteczku, i tym na górze w Warszawie. Nawet sobie patrzy. Widzę to z okna. Unosi je pod światło i patrzy, czy drżą. Coś mruczy do siebie. Moje ręce czy nie moje? Może to mi się śni? Tak naprawdę leżę zwinięty w kłębek w maleńkim pokoju. Ciało wyrzuciło z siebie kłęb obrazów i rozrzuciło je po całym domu. Jeden z nich wbił mnie w krzeselko na tarasie, kazał palić i nasłuchiwać. Znow się powtórzy skrzypienie butów, ale nikogo nie będzie widać. Może wyżej jest jakaś ścieżka, alejka, chodnik za drzewami. Obsesyjne skrzypienie butów.

Powrót mężczyzn z nocnej szychty. Nieśmiałe wsuwanie się do pozostawionej przez żony ciepłej pościeli. I jak za mgłą płacz dzieci, zapach przypalonego mleka. Albo inny powrót: w kłębach dymu kolejki, w piwiarnianym gwarze. Rozkoszny półobłęd, zataczanie się między drzewkami ogródków działkowych, czuwanie na wycieraczce, wreszcie dźwięk klucza, właściwa dziurka. Dom.

Życie w miasteczku musi przybrać inny obrót. Inaczej ma wschodzić słońce, inaczej zachodzić. Przy innych dźwiękach, zapachach i nawykach. Młody obiecał. On ma sposób na tę inność. Niczego się nie lęka. Kopalnie zrówna się z ziemią, żeby wspomnień nie było, niepotrzebnego rozdierania szat. Szaty i tym podobne trafią do muzeum. Kilofy. Marki. Kaski. Szpady. Niech dziatwa sobie ogląda w ramach lekcji wychowawczej.

A wczoraj wieczorem brat płakał, patrząc na wynoszone z „Halemby” ciała. Ale zaraz potem się wkurwił. Szopkę z tego zrobili – powiedział. Rząd wykorzystał te śmierci do swoich celów. Media też nie lepsze. Tylko żer się liczy. Nawet do dupy zajrzą, żeby jakąś ciekawostkę znaleźć. Od rana do wieczora będą. Niesmak. A miało być wzniośle. Te dwadzieścia kilka ciał jako pretekst. Mięso medialne. Przy okazji rząd i wiodąca partia swoją mszę odprawili, pieczeń upiekli. Narodową. Patriotyczną. Dlatego brat od rana jednego za drugim. Chyba od czwartej na tym ganku siedzi. Pogwizduje cicho. Gołębie już trzecią rundę robią na niebie. To go uspokaja. Do telewizora nawet nie podchodzi. Radia nie włącza. Jak w Nowej Rudzie metan zabierał mu kolegów po kolei, to psa z kulawą nogą nie obeszło. Odchodzili w ciszy. Ślad po nich zagał. – W tym muzeum, co będziecie je robić, zostawcie jedną białą ścianę. I czarnym tuszem wypiszcie te wszystkie nazwiska. Jeden znicz niech się cały czas pali. Nic więcej – mówi przy śniadaniu.

Okno jest lekko uchylone. Tym razem musi się wyjaśnić. Jeszcze chwila i w kwadrat widzenia wpycha się monotonnym krokiem drobna staruszka ubrana na czarno. Wyrzebała skądś za ciasne buty i to one tak skrzypią jak trupięgi. Na plecach worek. W ręce długi kij. Dzisiaj przeczesuje nasze kontenery. Wcześniej musiała operować gdzieś wyżej.

Ciągnę za sobą warkocz dymu. Gaźnik się dławi, kaszle. Zatrzymuję się w przydrożnym warsztacie. Wracam z pracy w Jeleniej Górze. Rozmyślałam nad zaginionymi rękopisami Peipera, nad kształtem walizki, miną złodzieja. Albo te „Bagienne niezapominajki”. Chciałbym je znaleźć, pierwszy przeczytać, zachwycić się, ogłosić drukiem. Po godzinie odbijam od tego brzegu. Borówno. Zjedz je równo. Czarny Bór. Byłe knur. Kochanów. Bez przerwy zamieniany mazakiem żartownisia na „Róchanów”. Szarpana wstrząsami mała główka w okularach. Droga wije się, wpada w dolinki, znow się podnosi stromo. Widzę wystrzelający w górę kopczyk ruin zamku Rogowiec. Ci ludzie przed nami... Ich strzemiona, czapraki, tarcze. Ich myśli, przeżycia, uczucia. Zapadło się, zrównało z ziemią. Ale jest do odkopania. Rycerze, górnicy, spiskowcy odnajdują się gdzieś tam w ciemnościach. Ocierają się o siebie.

Mija siedemnasta, nikogo nie ma. Można zgasić światło i pójść do domu. Czekam jeszcze chwilę. Wpada były główny księgowy PSS „Społem”. Też pisze wiersze. Czuć od niego alkohol. Mówi, że to tylko piwo. Zasiadł się w „Góralu”. Zapomniał, że to dzisiaj wtorek. Zebranie. Czekamy we dwóch, gawędząc o tym, co by tu można zrobić. Jak zainteresować chwilową poezją? Stajemy na głowie i nic. Wieczorki poetyckie z drabinami, dymami, sypaniem się liści na głowy publiczności, psychodeliczną muzyką i nic. Rozrzucone po rynku broszury, antologie i tomiki wręczone znajomym. Opanowanie prasy lokalnej, stworzenie rubryczek pod hasłem „Przygraniczny pegaz”. Zapraszanie kolegów z Czech, łączenie się w pary ponad grani-

cami. I nic. Poezja dalej nikogo nie obchodzi. Nagle olśnienie. Księgowy pacnął się w łysinę. – Panie kolego, bo to tak ma być. Tak ma być! Działamy jak rycerstwo takie, o, partyzanci ducha, tworzymy intersubiektywną niszę nadwrażliwych. – No i co z tego? Dla kierownika wydziału kultury to nic nie znaczy, cofnął nam dotację na przyszły rok.

Pojawia się eteryczna sekretarka szefa fabryczki pończoch i staników, Sylwia. Pisze wiersze wzorowane na najlepszych wzorcach liryki kobiecej. I wtedy do mnie dochodzi. Tak, tak, o tym będę mówił. Już najwyższa pora. Jest nas tylko troje, ale to nic. Zaraz pojawiają się młodzieżowi aktywiści, najwięksi pasjonaci (tydzień temu pożyczyłem im Ważyka), uczniowie likwidowanego Technikum Górniczego. Kiedy już wszyscy członkowie Sudeckiego Klubu Literackiego „Dziewięciśń” zajmują swoje miejsca, zaczynam.

Proponuję powrót mężczyzn. Dość zniewieścienia, podlizywania się feminizmowi, uginania się pod rzekomą presją ducha czasu. – My też mamy coś do powiedzenia – mówię. A w ostatnich latach utarło się przekonanie, że od mówienia rzeczy ważnych są kobiety. Mężczyźni wycofują się, tworząc zamknięte getta osobników niezdolnych do innowacji. Być może jest tak, że nastał czas kobiet, ale to nie znaczy, że nie może dokonywać się jednocześnie powrót mężczyzn. Zdejmijmy z barków kobiet ten nadmiar ciężarów. Odnoszę wrażenie, że one też mają dość. Nie uciekajmy od obowiązków, dźwigajmy z godnością to, co nam pisane. Bądźmy dobrymi ojcami, chodźmy do jakiejś pracy. Ale wszystko w oparciu o ideę tworzenia, nieustannego rozwijania się. Mężczyzna twórca – podniosłem głos, może niepotrzebnie – a nie tylko rozplodowiec, jakby chciały to widzieć niektóre kobiety. Bo do takiej roli nas ostatnio zepchnięto. Daliśmy się zepchnąć. – To znaczy co? To znaczy jak? – podniosły się głosy. – Wróćmy do podmiotowej wyrazistości. Nie zamazujemy własnego głosu. Już ten gest powrotu będzie coś znaczył w pustce. Wróćmy do człowieczeństwa, a role płciowe wypoziomują się same. – Przepraszam – wyszeptała Sylwia. – Czy to znaczy, że ja mam używać teraz męskich końcówek? – Nie, kochanie, korzystaj ze swoich, tak jak do tej pory. O to chodzi, że kobiety wcale nie utraciły swej podmiotowości, wręcz przeciwnie, to nam się ona ostatnio rozmyła. – Ale ja nie chcę być poetką mniejszą – bąknęła z kąta Ismena, ekspedientka w sklepie z torebkami. – W świetle ustaleń Blooma dystynkcje Miłosza tracą moc. Ci według niego mniejsi urastają w naszych oczach. To już poeci mocni, więc wszystko przed tobą. W sieci sprzecznych enuncjacji może zabłysnąć twoja gwiazda, a jej światło raz będzie znaczyć więcej, raz mniej. Po prostu pisz. To jedyny ciekawy moment naszej egzystencji. Ale dość na tym. Na następnym zebraniu za tydzień oczekuję twórczości nowego typu. Czekałem na wiersze z mocno zaznaczoną osobowością, może to być nawet surowe i toporne, ale od czegoś trzeba zacząć. Jeżeli chodzi o zaplecze teoretyczne, to nie musicie się lękać, mam właśnie coś takiego w ręce.

I zacząłem cichym, opanowanym głosem czytać im wybrane fragmenty pism Harolda Blooma. Po ich wysłuchaniu zgodnym głosem orzekli, że powrót mężczyzn jest jednak możliwy. Dyskutowali o tym hałaśliwie, gdy ja zamykałem klubową piwnicę. Klucz powiesiłem na zardzewiałym gwoździu obok kółeczka z cyfrą 7. Zaprosiłem wszystkich do „Górala”. Mieliliśmy to oblać. Poza tym bardzo chcieli przyjrzeć się jakimś wyrazistym osobowościom. I znaleźliśmy takie. Wprawdzie niektóre z nich spały przy stolikach, ale w świetle bijącym od telewizora ich twarze mimo wszystko wyrażały stanowczość i siłę.



„Inny Bałtyk” na wystawie w WiMBP

Prezentowane zdjęcia autorstwa **Adama Korzeniowskiego** powstały w trakcie dwóch wypraw. Z pierwszej, odbytej dwa lata temu na Nort Cap, pochodzą tylko dwa zdjęcia: domek na wysepce sfotografowany przed wplynięciem do Helsinek i drugie zrobione w Szwecji, a przedstawiające koniec Zatoki Botnickiej, miejsce gdzie w zasadzie kończy się Bałtyk. Pozostałe zdjęcia powstały w 2008 roku podczas podróży wzdłuż wybrzeża Bałtyku. Ukazują Mierzeję Kurońską, wybrzeże Gotlandzkie, Zatokę Ryską oraz Zatokę Fińską z jej różnorodnymi plażami. Dlaczego „Inny Bałtyk”? Po pierwsze nie nasz, nie polski, po drugie Bałtyk bez ludzi, bez tłumów wczasowiczów, bez plaż zaspanych śmieciami. Bałtyk z wybrzeżem, które jest inne niż nasze, z innym smakiem i kolorem wody. Inny, bo nie wmontowany w ludzką



przedsiębiorczość, nieskażony, pierwotny i czysty. Dlaczego właśnie Bałtyk (w domyśle morze), bo to magiczne miejsce. Miejsce zetknięcia się kilku żywiołów. Bezmiaru wody, bezmiaru nieba, bezmiaru światła i skrawka ziemi, na której stojąc możemy poczuć się, jakbyśmy oto zostali wydani na świat. Morze budzi nostalgię, przywołuje wspomnienia, daje poczucie zetknięcia się z czymś ostatecznym, nieobliczalnym. Ukazuje nam naszą samotność. Stojąc na plaży jesteśmy jakby w teatrze, mamy możliwość uczestniczenia w niekończącym się przedstawieniu. Prezentowane zdjęcia są krótkim reportażem z tego niekończącego się widowiska.

O najnowszym tomiku poetyckim ks. Jerzego Hajdugi – „Wynajęty widok”

Rekin Hajduga

KRAKÓW I NAWRÓCENIE AUGUSTYNA

Już odpowiedź na pytanie, skąd pochodzi ks. Hajduga, stanowi wyraźną wskazówkę, która sugerującą niejako *a priori* drogę ducha i mentalności poety. Zatem Kraków. Wrażliwy nastolatek i takie miasto! W tym przypadku nie mogło skończyć się inaczej, jak tylko poezją. Barwne i ciekawe doświadczenia okresu debiutanckiego. Wędrowki uliczkami starego Krakowa, chłonięcie klimatu *spiritus loci*. Spotkania młodości. Spotkania z poezją, z zatraceniem „Ja” poety w wielkim, nigdy nie nazwanym oceanie, którego imię: sztuka. Czas krakowski Jerzego Hajdugi to ważne znajomości osobiste i artystyczne zarazem z ówczesnymi młodymi, dzisiaj tuzami polskiej poezji. Wtedy poznał osobiście Zagajewskiego, Kornhausera, Stabrę... Jak to było? Zapewne barwnie, młodzieńczo i twórczo. Czy przełożyło się na dzieło bardzo młodego wtedy Jerzego Hajdugi? Oto próbka, utwór, który powstał w 1976 roku. Napisał go dwudziestoczteroletni wówczas Jurek. Nie był wtedy ani zakonnikiem, ani księdzem, nie był jeszcze uznanym poetą:

DWA ŻYWIÓŁY

*Nazywam się rekin jestem potworem
człowiek moim pokarmem
nie cieszy mnie jego mięso – przesolone
wody mórz przyprawiają o szaleństwo
do dna wypijam wody mórz woda
moim żywiołem a oto
stanie się chyba chodzenie po ziemi
odkąd czuję w sobie
nogi i ręce
odkąd moja głowa cięższa
o następną...*

*nazywam się rekin i jutro stanę się człowiekiem
albo odejdę od niego tam na ziemię
gdzie Pekin upodabnia się do sztormu
moich wód*

(sierpień 1976 r.)

Przyznaję, że lubię ten wiersz Hajdugi i polubiłem tego poetę. Takiego właśnie. Młodego rekina, w którym dwa żywioły toczą walkę, a on, poeta w końcu, więc już wie, co będzie, gdy ta walka się zakończy. Rekin Hajduga, prorok Hajduga, poeta Hajduga.

A jak przebiegała dalsza droga literackiego wzrastania młodego Jerzego? Co takiego się stało, że przekroczył furtę klasztorną? Owszem, Norwid też próbował, ale z marnym skutkiem. Jerzy wstąpił jednak do klasztoru. W jednej duszy kohabituje ksiądz–zakonnik i poeta. O genezie swojego powołania traktuje w zbiorze „Nawrócenie św. Augustyna” (1989). Oddajmy głos poecie:

NAWRÓCENIE ŚW. AUGUSTYNA

*Ojcze
ziemia między trumnami
ziemia między grobami
ogród ziemi
nie bój się
ziemia
nawet
las
wyciąga
z myśli
o drzewie*

Wiersz ten został napisany przed blisko dwudziestu laty, a już dostrzega się w nim tak znamienity dla ks. Hajdugi szacunek autora do odbiorcy, który wyraża się specyfiką niedomówień, tak jakby autor wiersza nie chciał stłamsić wolności odbioru dzieła przez czytającego. Hajduga subtelnie zachęca: „ty też myśl, mój czytelniku”.

Gdy Hajduga został księdzem, jego wiersze zyskują nowy wymiar. Twórczość księdza Jerzego Hajdugi nacechowana jest przede wszystkim autentyzmem.

PAMIĘĆ ZAKOCHANYCH

*na lawkach kościelnych
wyrte imiona dziewcząt
pierwsze po Bogu wyznania
„Zabłądzić” (1993)*

Dla tego autora nie ma tematu tabu, choć liryzm jego wierszy i struktura werbalna unikają dosadności, dosłowności czy brutalności werbalnej.

ROMEO

*albo weźmy tego Romea
kochanek on jest inny od innych
on jest inny ręki by nie podniósł
nie podźwignął ani nie posłuchał
naszych kawałów ciała*

on tylko miłość miłość

*kochanek ale jaki by nie był
przyznacie
że czasami go szkoda*

„Miłość, która nie mogła umrzeć” (1990)

Kto pozna osobiście ks. Jerzego, zostanie oczarowany jego pokorą i skromnością. W tym człowieku jest „coś”, „coś” organicznie związane z jego poetyką, która jakby w prosty sposób wypływa z tej osobowości. A osobowość Hajdugi urzeka. Gdy zamienisz parę słów z tym poetą, zostaniesz ujęty jego niezwykłą delikatnością. Czuje się, wie się, że w tym człowieku mieszka poezja. Oto właśnie to „coś”, które wyczuwa się przy pierwszej wymianie zdań. Ks. Jerzy ma w sobie *immanentną* delikatność i wyczuwalną wrażliwość. Jak ktoś, kto poznał smak łez. Aż ciśnie się na usta cytaty ze Staffa: „pogodny mądrym smutkiem i wprawny w cierpieniu”. Dlaczego? Bo jako kapłan po wielekroć ma okazję zanurzać swoje życie w smutku i cierpieniu tych, dla których pracuje.

* * *

*Śniło mi się że
szedłem do domu dziecka
w czarnej sutannie
wszystkie okna pozamykane
a na każdej szybie
wypisane palcem słowo
mama
ładnie
i bez błędu
długo nikt
nie otwierał
„Dwa żywioły” (1994)*

Nie sztuka zapoznać się z dziełem i nie sztuka zrobić jego opis czy analizę. Warto poznać osobę twórcy, bo dzieło wszak jest wypadkową mentalności, wypadkową całego życia, całego JA poety. Czy kapłaństwo ma wpływ na poezję tego autora? Ależ oczywiście, że ma! Tyle tylko, że poeta bardzo rzadko mówi in *expressis verbis* o tym, że jest księdzem. Owszem jego ustawiczne spotkania z rzeczywistością nadprzyrodzoną pozostawiają ślady w wierszach, lecz twórca tej miary, tej subtelności, która też wynika poniekąd z kapłańskiej funkcji, nie musi epatować swoich czytelników faktem, że jest duchownym.

„WYNAJĘTY WIDOK”

Już w tytule najnowszego zbioru wierszy księdza Jerzego znajdujemy tchnienie przemijania i ulotności. To co wynajęte, nie do końca jest moje. „Zgarnąłeś mnie z ulicy” – czytamy w pierwszym wersie wiersza, który nadał tytuł i ton omawianemu zbiorowi. Ów niedookreślony, „zgarnięty z ulicy”, równie dobrze może być jakimś przypadkiem, spotkaniem z drugim człowiekiem, zdarzeniem losowym, praktycznie wszystkim, co może wydarzyć się w ludzkiej codzienności... Dyskretnie, a jednak wyraźnie, autor ukazuje splot przypadków, który autonomizuje się poprzez asymilację. Wydarzenia, sprawy, ludzie pozornie przypadkowo napotkane na drodze życia: ...w ciemnej bramie / bez światła, bez żarówki... ulegają interioryzacji, stają się nagle najbardziej własnym doświadczeniem, to co niezaplanowane, wręcz niechciane może zostać niejako „zgarnięte z ulicy” bez racjonalnych uzasadnień, po prostu, ot tak, przypadkowo, ale to co spotykamy w taki właśnie sposób w swoim życiu jest nieuchronne i staje się częścią nas samych, bo jest naszym osobistym doświadczeniem:

*...i nic nie przechodziło między nami
Czytaliśmy sobie z ust*

Ta intelektualna introdukcja o przypadkach, które *nolens volens* mogą stać się udziałem każdego, jest przygotowaniem do podjęcia rozważania nad ciężarem i sensem ludzkiego cierpienia, który jest motywem wiodącym „Wynajętego widoku”.

Autor przygląda się tragedii cierpienia i śmierci. Szpital, w którym pełni posługę kapelana, jest akceleratorem ludzkiego losu. Tu cierpienie jawi się w najboleśniejszym wymiarze.

CIEPŁO ZIMNO

*rozwija się karta chorobowa
dosięgam dłońmi
powraca gest i szept

jest tak cicho
że usta i piersi
pocałunki
czy dłonie
pamiętają

połóż się
usiądź

to stół

cieplej*

W końcu to tu śmierć przychodzi beczelnie, jawnie, cynicznie szybko. Tu nie ma złudzeń.

*...poniżej głęboko
bawi się ziemia
w chowanego
(„Ksiądz od zmarłego”)*

W PANTOFLACH

*od dzisiaj nie będziemy już
chodzić razem na spacer
rzekła staruszka chora
na jedną nogę
bezzadny szczeniak
ukrył się w drugim
pantoflu*

Gdy człowiek namacalnie doświadcza cierpienia innych, staje się ono częścią jego samego, budzi się pragnienie reakcji, to więcej niż współczucie, ale też pojawia się doświadczenie bezradności i najzwyczajszego ludzkiego lęku, który wynika ze świadomości, że cudza tragedia może w każdej chwili stać się także moim udziałem.

W DZIEŃ ZAPALAM NOCĄ LAMPKĘ

*nie chce się spać
ptaki dziobią parapet
za otwartym oknem

ciekawym chwytam pióro
które z nich obudzi
bez ciebie

notuje lęk*

Mogłoby się wydawać, że Hajduga ukazuje finalizm ludzkiej kondycji jako takiej, która zamyka się w cierpieniu i konieczności śmierci. Człowiek nie ma wpływu na fakt przemijania i destrukcji somatycznej, a próby ratowania czy przedłużania życia prędzej czy później zakończą się niepowodzeniem. Owszem, „Wynajęty widok” to traktat o słabości i przemijaniu, któremu na ziemi człowiek nie jest w stanie zapobiec. Jednak poeta nie pozostawia czytelnika w stanie prostracji nad własną kondycją. Jerzy Hajduga mówi czytelnikowi: „Ale to wszystko nie jest powodem, żeby wpadać w panikę. Jest nadzieja”. Poeta mężnie stanął wobec rzeczywistości takiej, jaką ona w istocie jest. Nie ucieka przed faktami, które są przygnębiające, poeta poznaje smak empatii, może czytelnika też zaprasza na to pierwsze piętro humanizmu?

Z EMPATIA

*nieważny dzień ani miesiąc wystarczy
zapach pierników a to już święta
bożego narodzenia

zosia siedzi przy łóżku i ma włosy
uczesane w kucyki dzisiaj przyjdą
koledzy z podwórka

januszek bawi się swoimi palcami
wciąga i wyciąga ze szklanki z wodą
dorzuci za chwilę szczękę

słyszę dlaczego pan nie ma piżamy
nie patrzyłem im wtedy w oczy
teraz chciałbym pytać i

pytać*

Czy jest jakieś remedium na nieuchronność? W wymiarze życia ziemskiego autor nie pozostawia złudzeń. Jednak wyraźnie wskazuje na „ciąg dalszy”, który nadaje sens traumie przemijania i cierpienia. Ten „ciąg dalszy” to życie w wymiarze wieczności, co do którego autor nie ma żadnych wątpliwości, wszak jest człowiekiem wierzącym, a przy tym duchownym. Według jego logiki życie musi trwać, aby zachowało sens.

ŻYWIEJ

*pod grobem mamy czułość
wśród wysokich traw
ławka przy lawce*

*syn wraca nocą do klasztoru
wyjmuje z habitu dłoń*

*na ścieżce świerki
sypią piaskiem*

topnienie śniegu

W tomiku „Wynajęty widok” ks. Jerzy Hajduga, jak przystało na rekinowego rekina poezji, postanowił zmierzyć się z uniwersalnym problemem cierpienia, przemijania i śmierci. Wie, że człowiek nie ma wpływu na to, co staje się jego udziałem, wie także, że w wymiarze życia ziemskiego musi istnieć pojęcie końca. Nie kryje przed czytelnikiem bezradności, naszej powszedniej bezradności, gdy przychodzi stanąć wobec tragedii ludzkiego odchodzenia. Praktyka szpitalna dostarczyła poecie aż nadto przykładów na bezsilność wobec cierpienia i śmierci. Jednak Jerzy Hajduga czyni w swoich wierszach coś, co jest nie do przecenienia. Stając wobec niemożności zapobieżenia temu, co musi się stać, demitologizuje śmierć. Obnaża jej upiorność, ale też ukazuje prawdę o ograniczonym polu działania śmierci. Brzmi to paradoksalnie, ale są sfery, do których śmierć nie ma przystępu. Tu autor wznosił się na wyżyny mądrości literackiej, ludzkiej. Niezależnie bowiem od przekonania czytelnika „Widoku” każdy przyzna, że śmierć jest bezradna wobec piękna humanizmu i empatii. W tej poezji nie ma pozy ani kokieterii. Może dlatego autor posługuje się tak często lapidarną formą poetycką. Są przecież sprawy, o których wystarczy powiedzieć jedno słowo. *Sapienti sat* – mądrému wystarczy. Oto śmierć po demitologizacji traci swój oścień, swoją – mogłoby się wydawać – potęgę. Aż ciśnie się na usta cytata za świętym Pawłem: „Gdzie jest, o śmierci, oścień twój, gdzie twoje zwycięstwo?”. Zdemitologizowana śmierć swoim zasięgiem ogarnia pole eksploracji poety – szpital. Dalej jest cmentarz. Jednak tam rozpoczyna się nowa rzeczywistość: rzeczywistość życia, które *jest pełne czułości / wśród wysokich traw / lawka przy lawce*, rzeczywistość życia, które nie zna końca. Taką właśnie wiarą nacechowany jest tomik ks. Jerzego Hajdugi „Wynajęty widok”. Wiara, która stanowi zarazem siłę przesłania tego zbioru.

Marek Grewling

Ks. Jerzy Hajduga

ur. 30 marca 1952 r. w Krakowie. Zakonnik Kanoników Regularnych Laterańskich od 1980 – święcenia 1987. Debiut w 1969 r. w „Na przełaj”. Publikował w „Radarze”, „Tygodniku Kulturalnym”, „Poezji”, „Toposie”, w „Literaturze”. Autor felietonów pomieszczonych w cyklach „Granice przyzwyczajania” oraz „Kłatki i kłitki”. Autor spektaklu poetyckiego „Ten pusty krzyż” wystawionego w olsztyńskim Teatrze im. S. Jaracza. Autor radiowej książki miesiąca Radia Zachód „Żywiły wyciszenia” 1994, a także słuchowiska „Nasi trędowaci” – Radio Fiat, Częstochowa 1995. Tomiki poetyckie jego autorstwa: „Nawrócenie Św. Augustyna” Kraków 1989, „Najtrudniej Bogu” Kraków 1990, „Panie Ty wiesz” Drezdenko 1991, „Miłość, która nie mogła umrzeć” Olsztyn 1991, „Zbłądzić” Kraków 1993, „Dwa żywiły” Olsztyn 1994, „Zamilczenia” Gorzów 1995, „Beze mnie” Kraków 1996, „Rozmilkam się na wiele głosów” Olsztyn 1998, „Spoglądając” Poznań 2003, „Rozerwanie nieba” Kraków 2006, „Wynajęty widok” Warszawa 2008.

„Kotłownia” w Drezdenku

Informacja o tym, że w Drezdenku ma miejsce jakieś nowe wydarzenie związane z życiem kulturalnym, nikogo już nie zaskakuje ani nie zadziwia. To miasteczko znane jest bowiem ze swego klimatu sprzyjającego aktywności zarówno profesjonalnych twórców, amatorów, jak i tzw. „społecznych” działaczy. Niebanalną rolę w kształtowaniu środowiska kulturalnego miasteczka odgrywają księża Kanonicy Regularni Laterańscy z czołową ich postacią – ks. **Jerzym Hajdugą**. Naprzeciw jego poszukiwaniom i zabiegom o znalezienie miejsca na kameralne spotkania kulturalne wyszedł proboszcz Parafii Przemienienia Pańskiego ks. **Robert Mazurkiewicz**. W ramach modernizacji kościelnej kotłowni (zamiana ogrzewania węglowego na gazowe) pomieszczenia, w których dawniej znajdowały się piece c.o. oraz skład opału, zostały zaadoptowane



*Wstęgę przecina ks. proboszcz Robert Mazurkiewicz.
Z prawej - ks. Jerzy Hajduga*

na stylową (przypominającą krakowskie „surowe” piwnice) salkę klubową. Będą tam realizowane małe formy kulturalne: mini-spektakle teatralne, muzyczne, spotkania autorskie z literatami i innymi twórcami kultury itp.; przewidziane jest także organizowanie wystaw plastycznych. Na amfiteatralnie usytuowanej widowni może zasiąść ok. 40 widzów, a sama „scena” – i tu ciekawostka! – znajduje się poniżej podłogi, w zagłębieniu, w którym stał niegdyś piec c.o. Pomieszczenie usytuowane jest – i tu kolejna ważna informacja! – bezpośrednio pod głównym ołtarzem kościoła. Nie znaczy to jednak, że charakter organizowanych w przyszłości imprez będzie miał charakter wyłącznie chrześcijański.

Uroczystego otwarcia nowego pomieszczenia, roboczo nazwanego „Kotłownia”, dokonano 26 września br. O wadze, jaką w Drezdenku przywiązuje się do tego rodzaju wydarzeń i placówek, może świadczyć fakt obecności na tej uroczystości władz miasta, przedstawicieli innych placówek kulturalnych oraz licznej grupy mieszkańców. „Kotłownia” nie była w stanie pomieścić wszystkich chętnych. Bohaterem wieczoru nie mógł być nikt inny niż ks. Jerzy Hajduga. Tam gdzie trzeba – z humorem, w innych momentach poważnie – opowiadał o swoich doświadczeniach zarówno poetyckich, jak i duszpasterskich, odpowiadał także na padające z widowni pytania. Montaż słowno-muzyczny na podstawie jego tekstów przygotowali uczniowie miejscowych szkół. Gościnnie wystąpił również chór „Cantus Firmus”.

Ludwik Lipnicki

W poprzednim numerze „Pegaza Lubuskiego” zamieściliśmy dwie recenzje tomu wierszy Ireny Zielińskiej „Naga cisza poety”: autorstwa Beaty Patrycji Klary i Czesława Sobkowiaka. Autorka obecna była na spotkaniu, uczestniczyła w ciekawej dyskusji, jaka wywiązała się w związku z tą książką o granicach szczerości w wierszach. Irena Zielińska dodaje do niej jeszcze jedną swoją wypowiedź na temat czytania jej wierszy przez recenzentów.

MÓJ „SZARY GŁOS”

Zapewne mój głos, czyli „szary głos piszącej” Ireny Zielińskiej, nie będzie się liczył na łamach takiego znamienitego pisma, jakim jest „Pegaz Lubuski”. A jednak – mimo wszystko – pozwolę sobie zagościć u Państwa – Literatów. Rozgoszczę się więc, jak jaka obca pani na waszych łamach. Ot tak właśnie, zrobię to w zupełnie innym charakterze niż dotychczas. Wtedy pisałam wiersze. Uczynię to z dwóch powodów. Pierwszy to taki, że istotnie „Złota cisza poety” nie jest znowuż taka złota i nie jest wcale ciszą. Bynajmniej, nie powinna nią być. Nietrafny tytuł. Książkę tę pierwotnie chciałam nazwać – „Płynące irawery”. Wracając jednak do „Złotej...”. W moim życiu, tak przed jak i podczas realizacji tejże książki, zdarzyło się wiele cierpienia, w dużej mierze niezawinionego przeze mnie cierpienia. Nie chciałam jednak o tym bełkotać w wierszach. Ramy moich dramatów osobistych zamknęłam dla niepowołanych. Wiem, że to nie jest żaden argument merytoryczny, jeśli chodzi o poezję, że mogłam, poprzez użycie odpowiednich metafor, uniwersalizować cierpienie, czyli swoje cierpienie podpiąć pod cudze. Jestem jednak wierna zasadzie, wręcz jej hołduję, że jeśli chcę krzyknąć, to krzyczę całą sobą, a jeśli chcę milczeć, to milczę – „szarością słowa pisanego”. I to też nie jest do końca prawda. Ma Pani rację, Droga Pani Beato Patrycjo Klary, że skrzydełka duszy są oklepane. To dobrze, że wysyła mnie Pani do Grodzkiego Domu Kultury na warsztaty. To znaczy, że Pani tak całkowicie mnie nie skreśla. Dobrze, że pośród krytycznej masy powietrza, którą na co dzień oddycham, daje mi Pani „kroplę nadziei” (wybaczy mi Pani to oklepane porównanie?). Wreszcie powiem prosto i swobodnie, iż dobrze, że zdarzyła się w moim życiu taka osoba, jak Pani, która szarpnęła mnie za nerw. Och, Pani Beato, z drugiej strony duszy, nie ma Pani racji. I niech Pani udusi teraz tę moją duszę, a ja i tak powiem Pani, dlaczego nie ma Pani racji. Otóż w sprawie motylków... Czyżby Pani nie lubiła tych cichych stworzonek? Mówię Pani, że biesiada z nimi to luksus. Mało tego – to komfort psychiczny. Takie motylki – nawet wtedy, gdy napiją się zbyt mocno – nie klną po szwasku, nie wyzywają mnie: od murzynek, od żydówek, od lesbijek, od masonek, od pingwinów, od kalek itd., itp. A ponadto są kolorowe i takie śliczne. Słuchają mnie i ja ich słucham. A wie Pani, że cichość motyla jest najpiękniejszą rozmową? Nawet gdy dzieje się to wszystko w kawiarni. Na oczach ludzi. Oni nie widzą tych motylków. Tylko ja słyszę ich piękne słowa. I wszystko jest OK. Alboż też niepotrzebnie weszła Pani, recenzując mój wiersz zatytułowany „Konkurs poetycki”, w osobiste relacje z moim osobistym psem Vipem. Przecież ja ten tekst skierowałam do niego. Mój mądry pies nie jest zoilem. On mnie kocha bezkrytycznie za to, że jeszcze jestem. A tak nawiasem mówiąc... Wie Pani, jak te konkursy wyglądają? Czasem tak, czasem siak. A w ogóle to... nie moje małpy, nie mój cyrk. A jednak mój cyrk, bowiem biorę w nich udział, czasem z przekory, a czasem mając nadzieję, że zdarzy się cud i że wygram. I chyba na to wychodzi, że przede wszystkim ja jestem w tym cyrku jedyną małpą. To też nie jest prawda, że wszyst-

kich krytyków ustawiam pod jedną kreską, że mówię o nich wszystkich „be”, a o sobie, że jestem „cacy”. Aż taka głupia nie jestem. Daleko mi do bycia prawdziwym POETĄ, bo jeszcze żyję, jeszcze oddycham, jeszcze powietrze we mnie skamle, żywe w nadmiarze. A jak już będę martwa w całości, to być może będę dobrą poetką. Właśnie o tym sobie pogadałam z psem Vipem, we wspomnianym przeze mnie wierszydelku. Nie ustawiam też sztucznych barier, pomiędzy sobą – poetką, czy też nie-poetką, a resztą świata. Ja chcę, li tylko, póki żyję, chcę spełnić się w CZŁOWIECZENSTWIE. Poetą bywa się, krytykiem także, a Człowiekiem się JEST. No, powiedzmy, że od reguły może odskoczyć. Wyjątek.

Więc tak, po ludzku, chciałam teraz przeprosić Szanownego Pana Andrzeja Krzysztofa Waśkiewicza, że w tym moim cichym tomiku podpisałam się do Jego skrzydeł, do skrzydeł PRAWDZIWEGO POETY. Bardzo Pana, Drogi Panie Andrzeju, za to – przepraszam. Jednocześnie chcę Panu podziękować, że Pan JEST – Poetą. Pański wiersz, zatytułowany „a ty z tej próżni”, który ja – mizerna poetka – wykorzystałam, jako motto do swojego tomiku – ano właśnie, ten wiersz – jest tą ZŁOTĄ CISZĄ POETY, której ja, swoimi własnymi słowami, nie umiałam albo też nie mogłam do końca, do dna istnienia – wykrzyknąć.....!!!

Zrobił to za mnie Pan Czesław Sobkowiak – Krytyk i Poeta. I to jest ten drugi powód, dla którego wchodzę na łamy „Pegaza”. Pan Czesław – niejako przy okazji wydania tej mojej, trzeciej z kolei książki – włączył się w całą moją twórczość. Zrobił taką egzegezę, tycając się mojej twórczości, że zawyyyłam. Tak, Drogi Panie Czesławie, Pańska recenzja to naga prawda o mnie. Prawda bolesna, nawet z punktu widzenia psychologicznego. Pan to wie, że przepoczwarzanie się człowieka-przedmiotu w podmiot wcale nie jest łatwe. Wtedy autentycznie niesie się ziemię na czole. Pan to wie, bo Pan przeanalizował moje słowa w sposób jakże wnikliwy, jakże drobiazgowy – nawet z uwzględnieniem kropek po kropkach, wykrzykników po wykrzyknikach, a wreszcie, z punktami odniesienia życia do punktu poezji. Taka recenzja może ucieszyć, ale powiadam Panu, z całą mocą, że także boli. Boli, od wewnątrz istnienia... Z drugiej strony – tak myślę sobie, że właśnie dlatego – warto pisać. Warto szukać dalej swojej, li tylko – irenejskiej – drogi życiowo-pisarskiej. Warto również podjąć trud, by poprzez pisanie – w sobie, tak od siebie – przyjąć postawę obiektywizującą, wobec ludzkich spraw i problemów współczesnego świata. A wracając do szarej ciszy poetki – Ireny Zielińskiej – powiem prosto, parafrazując słowa byłego Prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego: Oj, Ireno Zielińsko – szara, mizerna poetko – oj, nie idźcie dalej tą drogą. Literatom zaś – tak, jakbym za szybko wychodziła ze spotkania z Nimi, mówię – Ostańcie się z Bogiem, lub z partiami różnych orientacji, a już na pewno, ostańcie się z PEGAZEM.

Irena Zielińska

Dowodem, że „Pegaz Lubuski” jest czytany w całej Polsce, mogą być książki nadsyłane na jego adres lub jego recenzentów. Otrzymujemy ich coraz więcej.

Wiersze od przyjaciół „Pegaza”

Produkcja tomików poetyckich jest obecnie ogromna – sięga bowiem nawet tysiąca sztuk rocznie. Wrocławski krytyk Karol Maliszewski w cyklu artykułów poświęconych młodej poezji ironicznie pisał, że liczba tomików młodych poetów przypadająca na jednego Polaka powinna być umieszczona w Księdze rekordów Guinnessa. Maliszewski przeliczył sumując to, co czyta, co widzi w internecie, co nadchodzi do niego z różnych stron, co ocenia na konkursach, w których jest jurorem. Dorzucił dziesiątki znanych mu prowincjonalnych klubów poetyckich, a także dzieci i młodzież garnące się do rymowania i udziału w warsztatach poetyckich. Z tego wszystkiego wyszło mu, że w Polsce ok. 2 miliony ludzi bawi się słowami. Wrocławski krytyk uważa, że spośród tej ogromnej liczby wierszy jakieś 10 procent można uznać za poprawne, a z tego 1 procent za literacko wartościowe.

W tak wielkim gąszczu poezji niełatwo się poruszać. Czytelnik nie jest w stanie śledzić wszystkich poetyckich nowości i wcale nie musi tego robić. Jeśli chce poczytać coś nowego, a dobrego, wystarczy, że sięgnie po utwory takich piszących, jak Krzysztof Siwczyk, Roman Honet, Joanna Mueller, Marta Podgórnik, Tomasz Różycki, Paweł Sarna, Anna Piwkowska, Konrad Ciok, Maciej Malecki, Dariusz Adamowski, Ewa Chruściel czy Edward Pasewicz. Najczęściej jednak czytelnik sięga po nowości książkowe. Takich sływa do mnie ostatnio bardzo wiele (i to z różnych części Polski). Cieszy mnie to ogromnie, tym bardziej, że mam możliwość polecenia tych najciekawszych, dokonując swoistego oddzielenia ziarna od plew. Na pierwszy ogień idzie

„Z dna utopii” Dariusza Dorna.

Dawno nie czytałam tak dobrych erotyków, choć książka nie jest monotematyczna. Jednak aspekt „źródła intymności” wysuwa się znacząco, niewinnie oplata wiele wierszy poświęconych pośrednio innym tematom. Tu istniejący erotyzm jest wyjęty z dna utopii i tak pokazany, że chciałoby się właśnie w ten sposób sprawy damsko-męskie przeżywać: *jest taki odcień nocy kiedy w siebie wpływamy / ciemność i jasność nie grzeszą zdecydowaniem / aura jest akurat taka abyśmy mogli się spotkać / pośrodku* [Pośrodku]; *gdzieś w cieniu błękitna łódka / o której zapomnieliśmy oczywiście wracając / zawstyżeni swoją obecnością / malinowi / aż do samego źródła intymności / które wypływa / tak słodkie i cierpkie zarazem* [Pierwsza wyspa]. Na uwagę zasługują również wiersze „Biblioteki” czy „Profanum in sacrum” rozpoczynający się od słów: *oto jest tajemnica wiary / chociaż już dzieci w okolicy wiedzą / dlaczego ciało pod sutanną śwędzi*. [D. Dorn, Z dna utopii, Bydgoszcz, 2008].



Jolanta Szejka „W kobiecym stylu”

kilka wierszy ma bardzo udanych, właśnie dlatego, że są w kobiecym stylu. To wiersze pokazujące inną stronę relacji kobieta – mężczyzna. Tu jest dramat związany z poczęciem dziecka. O co konkretnie chodzi, każdy doczyta sam. Zacytuję tylko: *kiedy mówię, że kocham ciebie lat już tyle / Gałczyński śmieje się na półce / a tobie drżą kolana* [Sobota dzieckiem poczęta]; *pytam o jutro / zamykasz drzwi w popłochu / ojcem podstępnie uczyniony* [Niespodziewanie]. Zrozumieć kobietę nie jest łatwo, ale warto choć podjąć taką próbę – wiersze Szejki mogą w tym pomóc. [J. Szejka, W kobiecym stylu, Bydgoszcz 2008].



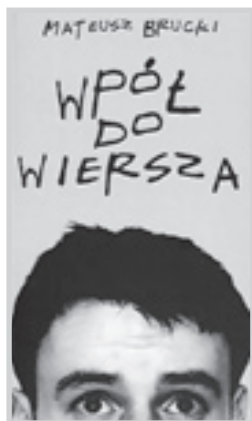
„Przed kurtyną świtu” Piotra Goszczyckiego

Ten, kto lubi młodość spojrzenia, jej radość (a ja bardzo lubię), odnajdzie tutaj optymizm, przekonanie o lepszym jutrze: *wstaliśmy o siódmej / akurat na ludzi / którzy światu dadzą miłość* [Wstawanie]. Ale i nostalgia nie jest Goszczykiemu obca: *odeszła wraz z moją tajemnicą / wraz z moim dojrzewaniem / i nierozegraną partią domina / corocznie wręczam Jej medal / złotych chryzantem* [Wiosenne cofnięcie czasu]. Autor z zawodu jest piekarzem i tym razem wypiekl średnio zgrabny tomik poetycki. Jeszcze wiele musi pracować nad warsztatem, nad językową stroną wierszy, jednak „coś tam w trawie piszczy”. [P. Goszczycki, Przed kurtyną świtu, Warszawa, 2008].



„Kuriozalnie z szypułkami” Zofii Mikuly

posiada na swoich stronach na pewno jeden dobry wiersz – „Verdigris”. Dla niego warto polecić książkę. Proszę jednak nie sugerować się zawartymi tam recenzjami. Są na wyrost (zwłaszcza zachwyty) i bardziej autorce szkodzą niż robią dobrze. Zaletą tomu jest fakt, że ma jednego adresata – wiersze są skierowane do konkretnego mężczyzny. To atut. [Z. Mikula, Kuriozalnie z szypułkami, Warszawa, 2008].

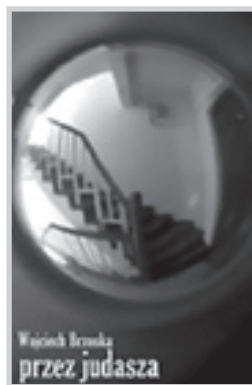


Jednak najciekawszą z nadesłanych książek jest

„Wpół do wiersza” Mateusza Bruckiego.

Mateusz to człowiek bardzo młodziutki i na dobrą sprawę wszystko przed nim jeszcze. Na tym etapie liczy się świeżość i żarliwość uczuć, wyobraźnia i wrażliwość nade wszystko. Wystarczy, że pozostanie sobą, bo już jego spojrzenie na świat się krystalizuje. Do gustu przypadł mi sposób zapisu obrazu – niby urywany, na wydechu – a jakże rytmiczny. Odnajduję w tej stylistyce rytm wierszy księdza Twardowskiego i to samo poczucie humoru: *pień drzewa słoje myśli zbyt ruchome schody / bursztyny żywych planet na oścież wytarte / błękitna pościel potop wieża Babel gotyk / pan bóg jest całkiem goły – nawet śpi bez skarpet* [Constans]. Można powiedzieć, że na razie debiutujący Brucki – świetnie się zapowiada. Już widać niepokój, zastanowienie, a to dobrze wróży: *pies jeden się tylko nie przeciągnął – zwykle / w bezbarwnym spojrzeniu ulotność obłoków / wierność i łapa – braterstwo – już milknę / i śpię i pies też śpi – a czuwa niepokój* [A psa nazwę Niepokój]. Polecam wiersze tego poety!

Beata Patrycja Klary



„przez judasza”

jest już piątą książką Wojciecha Brzoski, książką, ze względu na konwencję przyjętą przez autora, odważną i ryzykowną, ale jakże udaną. Brzoska bawi się słowem i robi to świetnie, odnajdując dwuznaczności i co chwilę zaskakując a to wersem, a to sposobem zapisu, który odwraca tekst o 180 stopni. Teksty pisane „na modłę” przekazu biblijnego są tak swobodne i pewne

siebie, że można by przypuszczać, iż autor mógłby je równie dobrze napisać jakkolwiek inną konwencją. Znamienny jest blurb w książce napisany przez Jakuba Winiarskiego, mistrza przekładania starej formy na dzisiejszy język. Brzoska robi coś dokładnie odwrotnego – wywołuje do tablicy współczesny zapis i sprawdza, czy uda się w niego wtłoczyć język archaizowany na dwa tysiące lat wstecz. Udaje się. Dużo w tym tomie mowy o domu i grzechach, jakby autor szukał dzisiaj miejsca dla ludzi i zjawisk sprzed wieków i sprawdzał, czy to wszystko pasuje i dzisiaj, ale nie to jest najważniejsze – owa archaizacja pozostaje tylko kamuflażem, bo wszystko to dzieje się dzisiaj i nie jest właściwie niczym osobnym, bo i pokolenie 20 i 30-latków tak naprawdę nie wyłącznie swojego jeszcze nie znalazło – tu liczy się podejście, którego oryginalności autorowi nie wolno odmówić, a które pozwala na zupełnie nowe spojrzenie na to, co zdaje nam się, od dawna już wiemy. I po to właśnie, by tę wiedzę zweryfikować i wyjrzeć *przez judasza* zupełnie inaczej, warto zobaczyć, co Brzoska ma do powiedzenia i jak chce do nas mówić.



„Po własnych śladach”

Marcin Włodarski swój drugi tomik „Po własnych śladach” rozpoczyna od mocnego uderzenia, jednym z ważniejszych wierszu tomu, pisząc w nim: *może każdy wiersz jest o miłości / ten o Szopenie / głowa oddzielona od ciała / i ten o limbice co chciała być artystką / wiersz o nauce chodzenia i obronie żebractwa / przecież mogą być wierszami / spalone dzieci / właśnie o miłości*

i cała ta książka jest właśnie o takiej miłości, może ojcowskiej, może nieodwzajemnionej, do świata takiego, jakim on jest, mimo goryczy, całego zła, przeciw któremu autor się buntuje, by chwilę później pogodzić się z tym, na co wpływu mieć nie może. Dużo w tym tomie poetyckiej prawdy, od której tak wielu młodych poetów właśnie w poezji, zupełnie niepotrzebnie, próbuje uciec, idąc najprostszą drogą. Droga Włodarskiego nie jest prosta, ale prowadzi nas jego śladami przez to, czego doświadczamy na co dzień – przez chwile zachwyty, buntu, zrozumienia i przyjęcia na siebie tego, co przyjąć trzeba, a wyrwania tam, gdzie to możliwe. Właśnie z tej rzeczywistości, przeciw której Włodarski na przemian buntuje się, i którą usprawiedliwia, musi on uciekać, a ucieka wszędzie tam, gdzie coś można jeszcze nazwać miłością, bo okazuje się, że jednak nie wszędzie udaje się tej miłości przenikać. Dojrzałe są te teksty, osobiste, ale nie emocjonalne, nie ma w nich tanich wzlotów i upadków, wszystko tu idealnie do siebie pasuje na zasadzie odmienności. Egzystencja, normalność, tego brakuje dzisiaj często w poezji, a jeszcze częściej wyjścia z normalnością w sposób nieszablonowy, językiem prostym, ale do prawdy świetnym, stonowanym. Autorowi udaje się pokazać coś, o czym nie ma tu bezpośrednio słowa – wielkie emocje dojrzałego już człowieka i poety, dzień za dniem. Z niewielkiego kawałka czasu, kiedy jesteśmy w świecie Włodarskiego, rozciąga się bardzo szeroki czas i przestrzeń.



„Ekstremizmy”

Debiut Ewy Furgał brałam do ręki z niemałą nadzieją (po kilku poetyckich głosach męskich) i trzeba autorce przyznać, że jeśli rozpatrywać tomik wyłącznie jako debiut, jest dobrze, ale jeśli już ująć go w ramach niejako *lesbisko-feministycznych*, do tego okraszonych obiecującym tytułem „Ekstremizmy”, można się nieco rozczarować. Autorka bowiem chciałaby szokować, pokazując mi-

łość dwóch kobiet jako coś absolutnie normalnego, stąd bierze się zarówno tytuł tomu, jak i dykcja poszczególnych wierszy. Niestety, okazuje się, że ani tematyka jako taka, ani wspomniana dykcja, nie szokuje autora Nie ma tu nic z ekstremizmu, co nie znaczy, zaznaczam, że poszczególne wiersze same w sobie są złe i nie chcą nic powiedzieć, bo chcą, jak najbardziej, tyle, że mam wrażenie, iż odeszły nieco za mocno od zamysłu i samej autorki. Piszę to dość zaczepnie, wszak autorki nie znam

osobiście, ba, nie widziałem nawet na oczy, ale gdzie indziej może tkwić problem, jeśli nie w tym, że tomik ten mógł spełnić doskonale swoje zadanie, jeśli ukazałby się 10, 15, a najlepiej 20 lat temu? Wtedy jednak autorka zapewne nie знаła swoich ekstremizmów zbyt dobrze, co więcej, dorastała zapewne wokół tego wszystkiego, co sprawiło właśnie, że dziś nic ekstremalnego już tutaj nie znajdziemy. Dużo w tym tomie emocji, emocje te niestety zazwyczaj opisane są dość dosłownie i, co nieco dziwi, na początku wierszy, by później opowiedzieć kolejną historię. Historie te są pisane momentami zupełnie nieźle, ale cóż z tego, kiedy wiemy już wszystko po pierwszym wersie? Bardzo trafny komentarz tomiku na jednej ze stron internetowych poświęconych równości napisała Sonia Śniatała: „Wiersze o samotności, gdy ukojeniem jest tylko ta jedna osoba, a nie można całować się z nią na ławce w sąsiednim parku”. No właśnie, w tym sęk. Otóż można, już można, inna rzecz, że nie każdemu się to spodoba, ale wiersze dźwięczą, że najpierw jest ekstremizm, a później jeszcze coś, czego nie można, tymczasem nawet to coś dawno nie jest już ekstremizmem. Reasumując – więcej tu sprawozdania, emocji niż poezji, chociaż przy innym podaniu i zmianach teoretycznie niewielkich, moglibyśmy uzyskać mocny kobiecy głos. Być może tym mocnym głosem autorki zostaniemy jeszcze zaskoczeni w przyszłości. Na razie ekstremizmów brak.



„światło umieranie”

Szymon Bira, dwudziestolatek z Bytomia wydał tomik poetycki i nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie zaskakująca dojrzałość i język wierszy, język oryginalny i nieraz wulgarny, ale już teraz umiemy tę wulgarność dobrze wykorzystać. Bywa i bezczelny, ale ta bezczelność wiąże się ewidentnie z odwagą poetycką i potrzebna jest do

przekazu, jaki Bira nam niesie, nie wynika ona z braku pokory. Autor prowadzi nas po pewnej linii, wie, o co mu chodzi, jest pewny siebie, więc bierze nas za rękę i opowiada, a ma już co nieco do powiedzenia, co bardzo cieszy u tak młodego poety. Te wiersze nie zostawiają czytelnika z satysfakcją, one dają coś znacznie lepszego i ważniejszego, bo niedosyt po przeczytaniu całego tomu to jedna z przyjemniejszych rzeczy, jakie można odczuć po przeczytaniu książki. Bira podejmuje różne tematy, również te najbardziej banalne, jak chociażby miłość, ale sposób, w jaki je podaje, banalny już nie jest i zachęca wręcz, żeby wejść w ten wsobny świat głębiej i poznać go bliżej. Co ciekawe, nie ma w tej poezji uzurpowania sobie prawa do wiedzy, patrzenia na czytelnika z góry, jest młody człowiek piszący z pokorą o sprawach młodego człowieka – mnóstwo tego w internecie, bo i dużo młodych pisze wierszyki, czasem chciałoby się rzec, że zbyt dużo. Bira wymyka się im wszystkim i jest poetą, którego dalszy rozwój warto z pewnością śledzić. Czekamy więc na drugą, jeszcze lepszą książkę.

Karol Graczyk

49. Konkurs Czerwonej Róży

W konkursie mogą brać udział wszyscy poeci, niezależnie od przynależności do związków i stowarzyszeń twórczych. Zestaw trzech niepublikowanych wierszy opatrzonych godłem (w trzech egzemplarzach maszynopisu, personalia i adres autora należy dołączyć w zaklejonej kopercie również opatrzonej godłem) należy nadsyłać do 15 listopada 2008 na adres: Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuki, ul. Chlebnicka 2, 80-830 Gdańsk, z dopiskiem na kopercie „Czerwona Róża”. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi na początku grudnia. Główną nagrodą jest statuetka Czerwonej Róży i 1000 zł. Przyznane zostaną także nagrody niższego stopnia i wyróżnienia. Nagrodzone wiersze zostaną opublikowane w „Autografie” i ew. w innych czasopiśmie. Przewiduje się także wydanie osobnego zbioru.

„Wiersz za 100\$”

Trzeci konkurs organizowany wspólnie przez PKPZin oraz jachtor.com. W konkursie może wziąć udział każdy, kto do 30 października 2008 r. prześle zestaw maksimum pięciu tekstów na adres: pkpzin@gmail.com lub: konkurs1wiersz@yahoo.com pisząc w temacie „Wiersz za 100\$”. W pięcioosobowym jury zasiądą, jak to było w poprzednich edycjach, poza dwiema osobami z redakcji, najlepsi polscy krytycy literacy, a głównymi nagrodami (które zostaną przesłane pocztą) będą – 100\$ oraz książki dla zwycięzcy, 100\$ za drugie miejsce, książki za miejsce trzecie i dla wyróżnionych oraz prenumeraty czasopism literackich. Wyniki będą ogłoszone na przełomie listopada i grudnia. Organizatorzy mailowo powiadomią o nich laureatów. Wiersze należy nadsyłać w formacie doc., txt lub rtf.

Plac Zadań

Służewski Dom Kultury w Warszawie, ul. Bacha 15, zaprasza wszystkich piszących wiersze do udziału w comiesięcznym konkursie poetyckim. Na naszej stronie internetowej „Poezja nad Dólinką” otwieramy rubrykę „Plac Zadań”, w której będziemy podawać temat na wiersz miesiąca. Do końca października br. czekamy na utwory o tematyce związanej z historią parowca Lusitania. Prosimy o zgłoszenia pocztą internetową lub zwykłą z dopiskiem „Plac Zadań”. Więcej informacji na www.sdk.waw.pl/poezja, e-mail: wiersze@sdk.waw.pl

VII Gdyńskie „Połowy Poetyckie 2008”

Konkurs na zestaw wierszy: Do 10 listopada 2008 r. należy nadesłać zestaw trzech wierszy w pięciu egzemplarzach o dowolnej tematyce, dotąd niepublikowanych i nienagradzanych w innych konkursach. Wiersze należy opatrzyć godłem; do zestawu należy dołączyć zamkniętą kopertę, opatrzoną tym samym godłem, zawierającą dane autora/ki (imię i nazwisko, adres, telefon i e-mail). Pula nagród – 7000 PLN. Adres: Centrum Kultury w Gdyni, ul. Łowicka 51 81-504 Gdynia, z dopiskiem „Przegląd Poetycki”. Ogłoszenie wyników i wręczenie nagród nastąpi 28 listopada 2008 r. w Gdyni. Laureaci konkursu na zestaw wierszy zostaną zaproszeni na imprezę finałową na koszt organizatorów.

Konkurs jednego wiersza: Warunkiem uczestnictwa jest osobiste odczytanie jednego niepublikowanego wiersza i złożenie czytelnej, podpisanej kopii tegoż na ręce jury. Konkurs odbędzie się w czwartek 27 listopada o godz. 19.00 w kawiarni „Strych” w Gdyni, pl. Kaszubski 7B. Pula nagród – 1000 PLN

I Jesienna Biesiada Literacka 2008 w Aleksandrowie Kujawskim o Zdzisławie Morawskim

Dnia 3 października 2008 r. uczestniczyliśmy w I Jesiennej Biesiadzie Literackiej poświęconej Zdzisławowi Morawskiemu, która odbyła się w Salonie Wystaw Miejskiego Centrum Kultury w Aleksandrowie Kujawskim – mieście rodzinnym poety. Zostałyśmy zaproszone jako przedstawicielki gorzowskiej książki, ale również jako autorki bibliografii o pisarzu.

Honorowym gościem Biesiady była żona Zdzisława Morawskiego, pani Maria Morawska, która z wielkim wzruszeniem dzieliła się swoimi wspomnieniami o mężu-poecie, ukazując go w różnych sytuacjach codziennego życia, choćby w przyziemnej czynności obierania ziemniaków, która znalazła odzwierciedlenie w poezji.



Wizerunek poety uzupełniły pełne humoru opowieści kolegi z lat szkolnych oraz wspomnienia mieszkańców Aleksandrowa Kujawskiego o rodzinie Morawskich.

Na część artystyczną spotkania złożyły się: oparty o teksty Zdzisława Morawskiego montaż literacki z przejęciem przedstawiony przez miejscową młodzież, wystawa prezentująca osobiste pamiątki udostępnione przez żonę poety oraz film telewizyjny dokumentujący Zdzisława Morawskiego jako interpretatora własnej twórczości.

Biesiada przebiegała w rodzinnej ciepłej atmosferze. Ze szczególną atencją zwracano się do p. Marii Morawskiej, dziękując jej za to, że stworzyła poecie prawdziwy dom i była do końca życia jego Muzą, troskliwą i opiekuńczą żoną, partnerem i niezawodnym przyjacielem.

Aleksandrowskie spotkanie ukazało Zdzisława Morawskiego jako poetę dwóch ojczyzn, dumnego z kujawskiego pochodzenia, ale równie mocno zakorzenionego w Gorzowie Wlkp. Potwierdza to wypowiedź poety: *Oczywiście pisarzem stałem się jako mieszkaniec Gorzowa Wielkopolskiego, ale przecież zawsze swoją tożsamość z Kujawami eksponuję; wiersze piszę jako mieszkaniec Gorzowa, a prozę z inspiracji Kujaw.*

I Jesienna Biesiada Literacka z cyklu „Sztuka Żywa Zdzisław Morawski” zorganizowana w Aleksandrowie Kujawskim była tylko wstępem do cyklu spotkań poświęconych poecie. Planowana jest m.in. sesja naukowa z okazji 85. rocznicy urodzin i 20. rocznicy śmierci pisarza. Organizatorzy czynią też starania o wznowienie – ukazującej kujawskie realia – wydanej w latach 70. powieści „Nie słuchajcie Alojzego Kotwy”.

Anna Sokółka i Danuta Zielińska
Fot. Danuta Zielińska

Trochę mi głupio, że szczupaczyna z kotwiczką między zębami szuka teraz jakiejś podwodnej wykałaczkii. Na szczęście sporo w tym rejonie powalonych drzew, więc pewnie ją znajdzie.

Za trzciniami, w zatoczce do której dopływamy, buja się dwóch takich jak my jesiennych włóczykijów. Jeden spinninguje a drugi zastawia żywcyzka. Robią swoje. My też. Płyniemy wzdłuż brzegu pchani lekkim powiewem. Raz po raz na otwartej wodzie pokazują się bolenie. To dobry znak. Zwiastuje ożywienie drapieżników. Tymczasem popołudniowa pora zaprasza na posiłek. Dobijamy do kładki. Marek wychodzi za potrzebą, ja ze swoją zostaję. W razie czego jest inne wędkarskie wyjście, plastikowa butelka...

Marek wrócił. Pijemy piwo, jemy chleb ze smalcem i czosnkiem. Słońce podgrzewa jesień. Jest ciepło. Zdejmuję polar. Marek robi to samo. Tylko ryby jakoś nie bardzo zabierają się do żerowania, do naszych przynęt. W międzyczasie dzwoni ktoś do mojego kompana. Sygnał telefonu dręczy uszy, zabija przyjemność ucieczki od świata kakofonii rozpedzonych ulic, tłoku reklam, ścierwa słów polityków na dwa tygodnie przed wyborami. Z tamtej strony płynie głos z miastocisku. Z otchłani ludożerców.

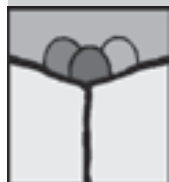
Seledynowy twister z brokatem wrócił nareszcie w pysku przyzwoitego okonia. Za którym to było rzutem? Nie wiem. Nie liczę ich, bo i po co? Czasami zapamiętuje się, że ryba wzięła przy pierwszym, trzecim, może i piątym prowadzeniu przynęty. Później traci się orientację. Wyciągam całówkę, by zmierzyć okonia. Ma dobre dwadzieścia trzy centymetry. Tymczasem Marek, nic nie mówiąc, holuje swoją rybę. Wygięta dość mocno szczytówka określa jej wielkość. Pytam, czy szczupak? Nie wiem – odpowiada, i zgrabnie podciąga „to coś” bliżej łodzi. Lubię patrzeć jak mój kompan podprowadza zacięte ryby. Robi to z wielką wprawą. Zdecydowanie lepiej ode mnie. Po paru chwilach widzimy, że to najmniej trzydziestak. Pochyliam się i ręką chwytam rybę. Pasiasty rozbójnik, okonisko – o jakich Markowi opowiadałem, jest naprawdę dorodny i pięknie wybarwiony. Gumowy ogonek twistera w barwie motorowego oleju wychodzi z rybiego pyska. Marek nie ukrywa zadowolenia, a ja skrywam w sobie wielką satysfakcję. Trzymam rybę i promienieję, że wreszcie powtarzane przeze mnie słowa o zalewowych, niemałych okoniach, stają się faktem. Kiedy Marek wyciąga z tego samego miejsca trzećcio, podobnego garbusa, jestem spokojny. Z radości.

Po godzinie Marek dokłada jeszcze półmetrowego szczupaka, a przed zachodem słońca kilka kolejnych zgrabnych okoni. Nad nami bezchmurne niebo i chłód odchodzącego dnia. Zbieram wiosłami wodę. Widać już wyspę, pomosty i przystań. Na brzegu, przy specjalnym do tego stole, Marek bierze się za czyszczenie ryb. Dopada nas zmrok i głód skręcający kiszki, a może to tylko... głodzik? – dodaje Marek i pękamy ze śmiechu, bo wiemy, o co chodzi w tym słownym zarcie.

PEGAZ LUBUSKI

Czasopismo literackie pod auspicjami WiMBP i ZLP.

Red. nac. Ireneusz K. Szmidt, z-ca red. nac. Beata P. Klary, sekretarz redakcji: Danuta Zielińska, współpraca: Krystyna Kamińska, zdjęcia: I. K. Szmidt, archiwum wydawcy i autorów, wydawcy: WAG „Arsenal”, ul. Matejki 82/3, 66-400 Gorzów Wlkp., tel./fax 95 7220 958, 0 501 520 227, e-mail: wag.arsenal@wp.pl, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna, ul. Sikorskiego 107, tel. 957277070, informacja@wimbp.gorzow.pl
Skład komputerowy: Daniel Besta 0 694 479 087.



Zrealizowano w ramach Programu Operacyjnego „Promocja czytelnictwa” ogłoszonego przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Roman Habdas

Głodzik Skręcający Kiszki

– Jedź nad ten swój zalew w przyszłym tygodniu, bo nie wiadomo kiedy będziesz miał znowu okazję – powiedziała Jolka, gdy wspomniałem, że mam ochotę odwiedzić, jeszcze tej jesieni, w towarzystwie kumpla, wędkarski przytułek dla włóczykijów zwany Windsorem.

Marek to kolega nie tylko od pióra. Na całe szczęście należy do tych, którym nie trzeba zawiązać przynęty, pokazać gdzie nią rzucić i jak poprowadzić. Swoje wie. Na ten wyjazd postarał się nawet uzupełnić szpulkę kołowrotka nowym zapasem żyłki i właśnie za ten wyczyn spotkała go z mojej strony nagroda. To ja przyjąłem rolę galernika i siadłem do wiosła, a on został panem rufy i mógł przez cały dzień na niej królować.

Jest późny ranek, suniemy w słońcu po bledzewskim siódmym niebie marzeń, choć zalew zgęstniał od liści spadających z nadbrzeżnych drzew. Jednym słowem – woda przesiąknięta jesienią. Gdy bujaliśmy się po niej jakieś trzy tygodnie wcześniej, nasyciona była glonami. One spowodowały, że ryby kiepsko żerowały. Dzisiaj jest znacznie klarowniejsza, ba, nawet bardzo czysta. Jednak w wielu miejscach dość mocno pokryta liściastym azurem. I to akurat tam, gdzie najczęściej łowiliśmy dyżurne okonie.

Właśnie zostawiamy takie miejsce. Płyniemy z zacienionego na rozświetlone, w rejon biwakowego cypla. Rosnące opodal na pływaczach skórzaste grązele nie są już groźne. Zbutwiały i opadły na dno. Dlatego w chwili rzutu przynętą nie trzeba już precyzji, wystarczy celować pod sam brzeg. Czasami kotwiczka czy haczyk trąci w wodzie jakąś gałązkę, resztkę łądygi i wtedy wydaje się, jakby to ryba podskubywała prowadzony wabik.

Jakiś kolejny niemiary okonek nie robi na nas wrażenia. Wreszcie jest pierwszy, taki do zabrania. Połakomił się na seledynową gumkę z brokatem. Po chwili Marek mówi – mam rybę – i traci okonia przy samej burcie. Takiego przyzwoitego ćwierćmetrowca. Uplywa pierwsza godzina, a my zaczynamy niepokoić się o brania, które zawsze – zdaje się nam – powinny być od pierwszego rzutu.

– Teraz nie zapalisz papierosa – mówię do kompana na rufie, gdy ten chwytą za paczkę. Marek wyciąga rękę. Dostaje mlecznego cukierka. Rozwija go, szeleści papierkiem i mówi, że trzeba zmienić miejsce. Zgadzam się. Bez wątplenia należy szukać miejsc, gdzie są okonie. Moje kochane okonie, za którymi po Zalewie uganiam się od dobrych dziesięciu lat. Najpierw łowiłem je ze Staszkiem, później wyciągałem nad zalew Romka, kumpla jeszcze z podstawówki, a kiedyś namówiłem nawet żonę. Ja spinningowałem, a Jola siedziała w łodzi i czytała. Raz po raz podała kanapkę, nalala kawy z termosu, zaproponowała ciasteczko. Przy niej zaciąłem dorodne, wygarbione trzydziestaki. To było nie tak dawno, bodaj w rok po zamachu na nowojorskie wieżowce. Też jesienią, gdy nad zalewem klucze ptaków, włochate pałki trzećin i babie lato.

Zatoka do której płyniemy – bo właśnie przed chwilą podnieśliśmy kotwicę, obdarzyła mnie przed miesiącem kilkoma pięknymi garbuskami. Dlaczego zatem i dzisiaj nie szukać tam żerujących ryb? Kiedy przepływamy opodal brzegu z wysokimi świerkami – milczę. Wiem, że w tym miejscu sporo lat temu utopiło się pod koniec bezmroźnego stycznia dwóch wędkarzy. Na wodę wypłynęli pontonem i...

Kto wie jak to się stało? Kto widział? Pewnie rosnące świerki, sosny i olchy? A może któryś z kruków obejmujący ten rewir nieba chciał im podać skrzydło ratunku? O tamtej chwili z pewnością mogłyby coś powiedzieć zimujące tutaj łabędzie? Ale one nieme i woda też milcząca.

Mister twister to taka gumowa przynęta z falującym ogonkiem. Przylgnąłem do tych wabików sporo lat temu, ale nie tak mocno jak do żony. Dlatego decyduję się na zmianę i do przywiązanej na końcu żyłki agrafki przyczepiam obrotówkę. Starym zwyczajem rezygnuję z wolframowego wzmocnienia, które zabezpiecza przynętę przed ostrymi zębami szczupaka. Marek patrzy z politowaniem. Po pierwszym czy bodaj drugim rzucie obrotówka zostaje w pysku szczupaka.

Kolejny raz mam za swoje. Mogła być miarowa ryba, jest strata błystki i ubolewanie.

Jan Gross

FRASZKI NA JESIEŃ

Ulubiona pora roku

*Że wolę jesień od wiosny,
to przecież oczywiste,
bo wtedy śliczna EWA
gubi figowy listek.*

Punkt widzenia

*Smutno jest patrzeć na nagość drzew,
wolę jak listki znikają z Ew.*

O figowym listku

*Gdy listek Ewie opada,
jak w raju czuje się Adam.*

Wzór do naśladowania

*Gdy nagość swą pokażą drzewa
figowy listek gubi Ewa.*

Wstydliva Ewa

*Kiedy swój listek odchyliła,
oczy rżęsami przysłoniła.*

Kiedy już

*Kiedy już listek opuści Ałę,
co robić dalej wiem doskonale.*

Wielbiciel jesieni

*Ten widok podziwiać gotowy,
kiedy opada liść... figowy.*

**Robotnicze Stowarzyszenie
Twórców Kultury,
Miejskie Centrum Kultury
i Związek Literatów Polskich
Oddział w Gorzowie zapraszają
18 października 2008 r.
o godz. 19.00 na Noc Poetów.**

W programie:

• Wiersze w interpretacji autorów

- Wystawa malarstwa
„Gorzów i okolice”

**Gorzów Wielkopolski
Sala Widowiskowa MCK
ul. Drzymały 26**